Jerzy Kmieciński

ETNICZNOŚĆ I ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA (PERSPEKTYWA ARCHEOLOGICZNA)

Był słoneczny ranek wczesnego lata 1938 roku. Jedliśmy śniadanie na tarasie naszego domu w Czortkowie. Ojciec powiedział – „Jerzyku, zabieram cię dziś na «wyprawę w daleką przeszłość», jedziemy zobaczyć Okopy Świętej Trójcy". Według wstępnej relacji ojca, były to umocnienia graniczne rzymskiej Dacji z początku II wieku n.e. wzniesione w czasie podboju tej prowincji przez cesarza Trajana. Wrażenie, jakie wywarł na dziesięcioletnim chłopcu, którym wówczas byłem, rozległy widok potężnych, długich wałów w widłach Dniestru i Zbrucza, spotęgowane było opowiadaniem ojca o legionach rzymskich, a również o późniejszej roli tych umocnień w czasie wojen polsko-tureckich oraz w czasie Konfederacji Barskiej, co zostało uwiecznione przez Zygmunta Krasińskiego w *Nieboskiej komedii*. Ojciec w czasie spaceru po wałach znalazł w kretowinie ceglasto zabarwioną skorupkę i zapewnił mnie, że jest to fragment naczynia, które musiał trzymać w swych rękach Rzymianin. Jak to postrzegam obecnie, mógł to być rzeczywiście fragment importowanego naczynia rzymskiego, tak zwanego *terra sigillata*. Od tego czasu losy moje bardzo różnie się układały, ale nie będzie nieuzasadnioną przesadą konstatacja, że ta „wyprawa w daleką przeszłość" zorganizowana przez mojego ojca zaważyła na tym, iż archeologia stała się pasją mojego życia.

Na tej jednorazowej „wyprawie w daleką przeszłość" nie kończy się rola mojego ojca w ukierunkowaniu moich zainteresowań. Bardziej pogłębione i długofalowe działanie miało systematyczne wdrażanie mnie do lektury książek historycznych. Czynnikiem ułatwiającym ten proces był fakt płynnego opanowania przeze mnie czytania już w trzeciej klasie szkoły, zwanej wówczas powszechną. Ojciec skonstatowawszy, że lektura *Starej*

baśni J. Kraszewskiego wywarła na mnie silne wrażenie zaczął systematycznie przynosić mi z biblioteki garnizonowej Podolskiej Brygady KOP kolejne tomy serii historycznej tegoż autora w porządku chronologicznym. W ten sposób z prawdziwym zainteresowaniem pożeglowałem przez całą historię Polski, zaczynając od *Luboni*, a kończąc na *Saskich ostatkach* i *Staroście warszawskim*. Lektura ta stała się podnietą do budowania, na wolnych grządkach w ogrodzie przydomowym, grodów z wałami i palisadami, które następnie zdobywałem i paliłem – ku przerażeniu Maryni, naszej gosposi domowej.

Przystępując do tworzenia tego tekstu założyłem sobie, że nie będzie to *curriculum vitae*, lecz przede wszystkim refleksja dotycząca wkładu moich mentorów w ukierunkowanie moich zainteresowań i indywidualności twórczej. Jeśli więc zacząłem od swych chłopięcych doznań to dlatego, że pierwszym i decydującym mentorem mojej pasji życiowej był mój ojciec.

Niestety, moją sielankę intelektualną dramatycznie przerwał wybuch drugiej wojny światowej w 1939 roku i śmierć ojca, który poległ w czwartym dniu zawieruchy wojennej.

Po pięcioletniej tułaczce wiosną 1945 roku znalazłem przytulisko u swych dalekich krewnych w Piotrkowie Trybunalskim – mieście, które przygarnęło mnie jak najczulsza matka, którą uosabiała prof. Aleksandra Matusiakowa, polonistka wykładająca w piotrkowskich gimnazjach i liceach. W jej domu z przytulnym ogrodem, usytuowanym na skraju miasta przy parku, panowała wspaniała intelektualna atmosfera. Animatorką tej atmosfery była właśnie prof. Matusiakowa, którą wybrani mogli nazywać „mamą". Jej dom jak magnez przyciągał niebanalnie myślącą piotrkowską młodzież, przeważnie wywodzącą się z instruktorskiego kręgu harcerskiego. Moim ulubionym miejscem, gdzie sporo czasu spędzałem w czasie mego pobytu w domu Matusiaków, była wspaniale wyposażona biblioteka w literaturę zawierającą dzieła znaczących humanistów, poetów, historyków i artystów.

Okres od 1945 do 1948 roku to jeszcze szczęśliwa kontynuacja przedwojennego ZHP. Ja, ze swoim krzyżem harcerskim zdobytym w 1939 roku w Czortkowie, zostałem przyjęty z otwartymi ramionami przez hufcowego piotrkowskiego harcerstwa druha Stachurskiego i natychmiast wprzęgnięty do działania. Tak się jakoś ułożyło, że proszono mnie często „po drużynach" do wygłaszania gawęd z okazji różnych rocznic historycznych, słuchaczami zaś bywali nie tylko druhowie, ale i ich rodziny oraz znajomi. Opowiadałem, wierny naszej pieśni *Płonie ognisko*, starodawne dzieje

i wskrzeszałem bohaterski czas. Do przerwania naszej sielanki ideologicznej w 1948 roku przyczynił się walnie w skali ogólnopolskiej – niech mu tego Opatrzność nie pamięta – Jacek Kuroń.

Matura i wstęp na studia pozwoliły zminimalizować żal i wściekłość z powodu brutalnej rozprawy reżimu z harcerstwem. Otwierał się jednak nowy rozdział mego, tym razem już bardzo konkretnego, spotkania z archeologią. Studia archeologiczne podjęte były przeze mnie z pełną świadomością, aczkolwiek nie bez przeszkód i wahań. Już na rok przed maturą miałem kontakt korespondencyjny z rezydującym w Poznaniu prof. Józefem Kostrzewskim, nestorem i jednym z twórców archeologii polskiej jako współczesnej dyscypliny naukowej. Odkryłem mianowicie, całkiem przypadkowo, ślady osadnictwa z epoki kamienia pod Rozprzą koło Piotrkowa, i zebrane narzędzia krzemienne przesłałem prof. Kostrzewskiemu, będąc właśnie po lekturze jego nowo wydanej książki *Kultura prapolska*. Profesor w podziękowaniu przesłał mi kilka odbitek swych prac oraz ku mojej radości zapewnienie, że przesłane artefakty krzemienne są niezmiernie interesujące i reprezentują tak zwaną mezolityczną kulturę tardenuaską. Pochwalił też mój szkic, wykonany według wszelkich reguł kartograficznych, zgodnie z posiadanymi przeze mnie harcerskimi kompetencjami sprawnościowymi.

Mimo tak przygotowanego gruntu pod przyszłe studia, zacząłem je jednak na kierunku „historia sztuki" w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Moja mentorka, prof. Matusiakowa, w swojej młodości zaczynała bowiem studia w tej dziedzinie we Florencji. Nieszczęścia osobiste w rodzinnym Krakowie nie pozwoliły jej jednak na kontynuację studiów we Włoszech, więc skończyło się to na polonistyce w Krakowie. W cichości ducha pragnęła, abym ja poświęcił się historii sztuki. Uczyniłem to, lecz wytrwałem tylko jeden semestr. Moje przejście na archeologię było dość gwałtowne i bezapelacyjne. Otóż wczesną wiosną 1949 roku zjechali jednocześnie do Krakowa prof. Jan Filip z Uniwersytetu Karola w Pradze razem z Jarosławem Poulikiem, opromienionym wtedy wspaniałymi odkryciami aglomeracji miejskich Wielkiej Morawy z IX wieku, oraz twórca archeologii na uniwersytecie w Łodzi, prof. Konrad Jażdżewski z kilkoma swymi studentami i asystentami. Jego prezentacja, na interdyscyplinarnej sesji wstępnych wyników badań wczesnośredniowiecznego Gdańska oraz romańszczyzny w Tumie pod Łęczycą tak mnie oczarowała, że postanowiłem studiować albo u niego albo nigdzie. Profesor Wojsław Molé, specjalista od sztuki starochrześcijańskiej w UJ, do którego proseminarium na-

leżałem, i prof. Jażdżewski ujęty moją determinacją ubili, o ile pamiętam, interes zamienny i w rezultacie już z łódzką grupą udałem się do Łodzi. Pierwsze dwa tygodnie sypiałem na Dworcu Kaliskim oraz „na waleta" w akademiku na żelaznym łóżku bez materaca. Po dość wykrętnym moim wyjaśnieniu, na zapytanie prof. Jażdżewskiego: „A gdzie ty dziecko mieszkasz?" – zostałem przez Mistrza – jak nazywaliśmy naszego profesora – zakwaterowany w magazynie z zabytkami archeologicznymi. Spanie na noszach i w śpiworze z demobilu amerykańskiej armii było wprost szampańskie w porównaniu z drewnianą ławką na Dworcu Kaliskim.

Należę do pokolenia, które bardzo wcześnie, bo z początkiem studiów, łączyło je z pracą badawczą. Istniała konieczność zapełnienia luki, która powstała w środowisku archeologicznym na skutek zdziesiątkowania go przez okupantów w czasie drugiej wojny światowej. Byliśmy w pełni świadomi wielkiej odpowiedzialności, jaką nas ta sytuacja obciążała. Mistrz Jażdżewski darzył nas wielkim zaufaniem, co było niezmiernie zobowiązujące. Trafiliśmy na moment rozpoczynania wielkiego ogólnokrajowego programu „Badań nad Początkami Państwa Polskiego". Z konieczności, jak gdyby, wszedłem w rytm realizacji tego projektu, uczestnicząc w ekipie badającej wczesnośredniowieczny Gdańsk, a kierowanej przez mojego Mistrza – prof. Jażdżewskiego. Miałem zatem możność zapoznania się ze skomplikowaną problematyką badania miasta średniowiecznego. Bogaty kontekst komplementarnych dyscyplin naukowych towarzyszących tym badaniom stanowił trudny, ale pasjonujący wstęp do moich studiów archeologicznych. Jednakże to, czym mnie Mistrz początkowo zafascynował, to badania nad etnosem.

> Zagadnienie etnicznej przynależności jakiegoś zjawiska lub grupy znalezisk jest tak dawne jak sama prahistoria […], gdyby ta gałąź nauki nie przywiązywała żadnej wagi do odpowiedzi na to zagadnienie, to przekreśliłaby samą siebie, gdyż znajduje się ona tutaj w obliczu jednego ze swych pierwszych i ostatecznych problemów.

To stwierdzenie wybitnego prahistoryka niemieckiego, Ernsta Wahlego, było istotnym motywem przewodnim w pracy badawczej mojego Mistrza.

Młodość mego mentora upływała w ogólnospołecznym klimacie euforii odzyskania niepodległości i swobodnego utwierdzania poczucia narodowego Polaków po 123 latach zniewolenia. Potężniejące ustawicznie od końca XVIII wieku dążenie do wyodrębnienia się społeczeństw etnicznych oraz tworzenie się niezależnych państw narodowych było wynikiem postępują-

cego wyższego stopnia rozwoju świadomości intelektualnej wszystkich warstw społecznych. Konrad Jażdżewski był przekonany, że możliwości poznawcze prahistorii w kwestiach etnicznych są znaczne oraz stanowią środek do osiągania wyższego stopnia poznania dziejów społeczeństwa ludzkiego i oczywiście własnego narodu. W oparciu o swą niesłychanie rozległą i gruntowną interdyscyplinarną wiedzę mój Mistrz przekazał mi co prawda klarowną hipotezę dynamicznego rozwoju etnosów, ale obciążoną narodowym subiektywizmem. Nic też dziwnego, że zaczęła mnie pasjonować problematyka migracji grup ludzkich. Oboczne studiowanie socjologii u prof. Janusza Szczepańskiego pozwoliło mi krytycznie spojrzeć na kwestie etniczne w ujęciu procesualnym, a więc w szerokim spektrum chronologicznym i przestrzennym.

Przedmiotem mojego zainteresowania stały się zarówno ludy rolnicze, jak i dążący na zachód z całym dobytkiem azjatyccy koczownicy, a także wędrujący do miejsc świętych pielgrzymi, wraz z właściwą im kulturą duchową i materialną, całą gamą zjawisk socjologicznych oraz wpływem na kształtowanie się środowiska naturalnego. Takie podejście wymagało szerokiego interdyscyplinarnego potraktowania i wyjścia poza wąskie ramy regionalne. Z upływem lat mogę też ująć tę problematykę nazwą „Etniczność w myśli politycznej" i przedstawić jako moją pogłębioną refleksję intelektualną w perspektywie archeologicznej. Syntetyczna wersja brzmi następująco: Etniczność jest dzisiaj, podobnie jak niegdyś, żywotną siłą, opierającą się na dawnej kulturze materialnej, a jej domniemana legitymizacja prowadzi często nie tylko do twórczych, ale i do destrukcyjnych skutków.

Nastawienie na badanie konkretnych kultur archeologicznych pozostawało w związku z chęcią wykazywania tożsamości społeczeństw zamieszkujących dany obszar ze społeczeństwami zamieszkującymi go w odległej przeszłości. Chciano w ten sposób uzasadnić autochtonizm obecnych jego mieszkańców. Przekonanie o zamieszkiwaniu przez badaną społeczność w tym samym regionie od pradziejów ugruntowało przekonanie o naturalnej więzi z regionem geograficznym, który zamieszkuje ona obecnie. Zgodnie z taką logiką rozumowania, jakiekolwiek społeczeństwo przybywające z zewnątrz nie dysponowało żadnym – poza przemocą w wyniku ekspansji – prawem do miejsca, z którym nie było związane odwiecznymi, tymi samymi niekwestionowanymi więzami.

Łączy się to ściśle z okresem uformowania się prahistorii jako nauki romantycznej w duchu pozytywizmu, zwłaszcza zaś ewolucjonizmu kultu-

rowego. Dziedziczy on właściwie etniczny aspekt badań, wzmożony narastaniem świadomości narodowej o charakterze szowinistycznym u społeczeństw „imperialnych", zaś o charakterze patriotyczno-obronnym u społeczeństw walczących o swą niepodległość w szczególności obrony szeroko rozumianych interesów narodowych. W związku z tym prahistoria, jak zresztą każda nauka społeczna, obok funkcji naukowej zaczyna pełnić funkcję komponentu mającego uzasadniać prawo do ziemi ojczystej lub – dokładniej – do obszaru zajmowanego.

Rozbudzanie i ugruntowywanie świadomości narodowej, to istotna wówczas rola prahistorii funkcjonującej w służbie narodowego samoutwierdzenia i jako oręż w walce o zachowanie istnienia. Nauka ta odgrywała, wraz z narodową historiografią, językoznawstwem czy etnologią, ważną rolę w przywoływaniu romantycznej przeszłości słowiańskiej, germańskiej czy romańskiej. Przykładowo, w odniesieniu do germańskiego terytorium językowego przyczyniła się walnie do kulturowej integracji narodu niemieckiego. Efekty tej działalności znalazły szczególny wyraz w archeologicznym uzasadnieniu ideologicznej wspólnoty niemieckiej już po zjednoczeniu państwowym. Poczucie przynależności do jednego narodu, pojmowanego jako wspólnota językowa, historyczna i kulturowa, stanowiło efekt walk z partykularyzmami 340 niemieckich organizmów państwowych. Rezultatem tego scalenia w jedno monolityczne państwo było ideologiczne złączenie wielości etnocentrycznych postaw w jedną romantyczną ideologię ducha narodu niemieckiego, co w konsekwencji zaowocowało również niemieckim ekspansjonizmem kulturowym. Podobne wartościujące ukierunkowanie dotyczy uzasadnienia początków narodu i państwowości polskiej, ruskiej czy czeskiej, jak zresztą i wielu innych narodów europejskich, dla których do czasów współczesnych upatruje się impulsów płynących z dalszej i bliższej przeszłości. Na przykład spór polsko-litewski był niewątpliwie jednym z wielu nękających Europę po pierwszej wojnie światowej konfliktów towarzyszących powstawaniu nowych państw narodowych w środkowo-wschodniej części tego subkontynentu. Wszystkie te państwa napotykały podobne problemy z wyznaczaniem granic i rozwiązywaniem kwestii mniejszości narodowych. Najczęściej towarzyszyły temu zaborczość i egoistyczny nacjonalizm. W tych kategoriach mieściły się po części badania Józefa Kostrzewskiego i Konrada Jażdżewskiego.

XX wiek na świecie to nie tylko czas gwałtownych wstrząsów społecznych, ale i okres wielkiego przyspieszenia wszelkich procesów cywilizacyjnych w rozległych dziedzinach aktywności społeczeństw ludzkich. Zna-

czące przewartościowania społeczne, polityczne i ekonomiczne niosły ze sobą rozwój nowych idei, a świat przenikały nowe prądy myśli społecznej, religijnej i politycznej. Nie ominął też ten ferment takiej nauki, jak archeologia, która już od XIX stulecia odgrywała znaczącą rolę nie tylko w naukach społecznych, ale i w kształtowaniu świadomości społeczeństw. Na zdominowaną przez podejście historyczno-kulturowe archeologię zaczęły oddziaływać – na zasadzie „każda akcja rodzi reakcję" – nasilające się wpływy nowego teoretycznego podejścia, które pokazuje, że obok etnicznej interpretacji odkrywanych bytów istnieje nieskończenie wiele innych aspektów rozwoju społeczeństw ludzkich. Jest to podejście metodologiczne, zwane także archeologią procesualną lub „nową archeologią". Można ją traktować również jako próbę reformy archeologii tradycyjnej. Koncentruje się ona na tworzeniu teorii, modeli, testowaniu hipotez, poszukiwaniu ogólnych praw zachowań ludzkich. Przy stosowaniu tej teorii archeologia stara się osiągnąć, podobne jak antropologia, zrozumienie systemów społeczno-kulturowych, może rekonstruować funkcjonowanie całości tych systemów. W ramach tej teorii zrodziła się też koncepcja, iż kultura człowieka to również sposób adaptacji do środowiska, zaś zmiany kulturowe mogą być zapoczątkowane przez czynniki pozakulturowe, przede wszystkim o charakterze ekologicznym. Pociągało to za sobą przyjęcie założenia, że określony fakt kulturowy nie musi być rezultatem migracji z zewnątrz obcych etnicznie plemion, lecz wytworem zmieniającego się środowiska. Wyjaśnienie pojawienia się odmiennego zjawiska kulturowego wymagało zatem uwzględnienia różnorakich okoliczności i przyczyn: ekonomicznych, technologicznych, religijnych, wreszcie akulturacyjnych. Mamy więc tu do czynienia z bardziej złożoną procedurą badawczą, która nie polega wyłącznie na przyjęciu, iż każda odmienność rodzi się pod wpływem obcym, zewnętrznym, infiltrującym określone środowisko kulturowe drogą migracji.

Trudno jest mówić o radykalizmie w zmianach metodologicznych w powojennej archeologii Europy Środkowej. Na przykład w archeologii niemieckiej wystąpiło swoiste uśpienie teoretyczne, spowodowane zapewne nadużyciami interpretacyjnymi w czasach nazizmu. Można tam było obserwować wyraźny zwrot ku kwalifikacji typologiczno-chronologicznej źródeł archeologicznych, co zresztą na gruncie niemieckim miało głęboką tradycję sięgającą XIX wieku.

Terytorialna rzeczywistość polityczna Polski po drugiej wojnie światowej nie sprzyjała łatwemu przechodzeniu na procesualny grunt metodologiczny polskiej archeologii. Zmiana założeń, że określony fakt kulturowy

nie jest rezultatem migracji z zewnątrz obcych etnicznie plemion, lecz wytworem miejscowym zmieniającego się środowiska kulturowego czy też uwarunkowań ekologicznych, posłużyła również do wykazania, że społeczeństwa zamieszkujące obecnie określone terytorium nie tylko były tu od tysiącleci, ale i pod względem zaawansowania cywilizacyjnego nie były gorsze od innych. Motywy te odgrywały znaczącą rolę w realizacji określonych programów badawczych.

Zrodziło to dość ostrą reakcję części środowiska archeologicznego, co przejawiało się w nieprzebierających niejednokrotnie środkami wyrazu sporach o germańskość czy słowiańskość mieszkańców ziem polskich u schyłku starożytności, przy czym wątpliwości co do kwalifikacji etnicznej kultur archeologicznych wczesnych okresów epoki żelaza na tym terytorium nie wynikają z przekonania, że kultura materialna nie jest dostatecznym kryterium. Znak równości między tożsamością wytworów a tożsamością ich wytwórców jest w tym przypadku przyjmowany za pewnik. Fakt, że kultura materialna okresu rzymskiego różni się od uważanej za słowiańską kultury wczesnośredniowiecznej, jest traktowany nie tylko jako jeden z argumentów przemawiających za germańskością ludności z tego okresu, lecz przede wszystkim jako wyraz głębokiej wiary w możliwość takiej kwalifikacji źródeł archeologicznych, która traktuje odmienność w kulturze materialnej przede wszystkim jako rezultat różnic etnicznych. Jaskrawym tego przykładem jest przejście przez jednego ze znaczących współczesnych archeologów polskich z nazewnictwa eponimicznego lub geograficznego określonych kultur archeologicznych, nie tylko na przymiotnikową formę kultura „gocka" czy „wandalska", lecz wręcz na kulturę Gotów i Wandalów, co określa jednoznacznie etnicznie wytwórców konkretnych faktów kulturowych. Jest zjawiskiem zadziwiająco anachronicznym, że aktywność określonej grupy archeologów polskich hołdujących metodologicznej opcji, którą można by nazwać neoetnocentryzmem, nasiliła się w ostatnich latach.

Stefan Amsterdamski swego czasu sformułował założenie, że nauka, a więc i archeologia, jest sferą kultury, każdy zaś z jej programów badawczych ma swoje źródła w kontekście społeczno-kulturowym, w którym funkcjonuje. Jest zatem nie tylko wynikiem ewoluowania w ponadkulturowej perspektywie poznawczej, lecz przede wszystkim zdeterminowana własną sytuacją kulturową. Nie przypadkowo więc, lecz zgodnie ze zmieniającymi się uwarunkowaniami społeczno-kulturowymi, funkcjonują kolejno w archeologii XIX stulecia – orientacja metodologiczna ewolucjonizmu antropo-

logicznego, następnie w reakcji na tę perspektywę, na wzmagającej się fali narastania świadomości narodowej w XIX i pierwszej połowie XX wieku – metodologiczne podejście kulturowo-historyczne. Na zdominowaną przez paradygmat kulturowo-historyczny archeologię, zaczął w drugiej połowie XX wieku oddziaływać procesualizm.

Obecnie, kiedy penetracja naukowo-badawcza człowieka obala ustalone zdawałoby się na wieczność prawa naukowe, kiedy geniusz ludzki dociera do odległych o setki tysięcy lat świetlnych galaktyk, pojawiają się nowe kierunki filozoficzne: postprocesualizm, poststrukturalizm, postmodernizm, a na ich gruncie – globalnej koncepcji dziejów, w myśl której wszystkie zjawiska koncentrują się wokół jednej wizji świata – przedstawia się ogólną koncepcję roztaczającą obszar rozproszenia. Według tej koncepcji jednolity schemat nałożony na dzieje zaciera ich właściwe cechy, takie jak: fragmentaryczność, niespójność i przypadkowość. Michel Foucalut za Fryderykiem Nietzsche twierdził, iż nie istnieje pierwotny sens, tekst źródłowy; istnieją jedynie interpretacje interpretacji. Dziejopis bowiem posługuje się dokumentami, relacjami, protokołami, sprawozdaniami, które już są interpretacjami i które następnie zestawia się w dowolne ciągi bądź konfiguracje. Taką też interpretacją jest już dokumentowanie przez archeologa odkrywanych pozostałości materialnych. Taka koncepcja dziejów relatywizuje możliwości poznawcze tożsamości, eksponuje zaś wielość i różnorodność jako główny czynnik kulturotwórczy. Zgodnie z tym podejściem podmiot postmodernistyczny nie dysponuje racjonalnym sposobem oceny prawdy, moralności, doświadczeń estetycznych czy obiektywizmu.

Krytyka poststrukturalna pozostawia więc za sobą próżnię. Krytyk, pozbawiony narzędzi rozróżniania dobra i zła, piękna i brzydoty, nie ma co robić – wszelka krytyka traci znaczenie. Rezygnując z filozoficznego oparcia świadomości historycznej na niezaprzeczalnych prawdach, dekonstruktywizm zmienia twardą skałę racjonalizmu w ruchome piaski wielości interpretacyjnej.

Wychodząc z odmiennego niż M. Foucault stanowiska epistemologicznego, uważam, iż pod pojęciem świadomości historycznej określa się w wielkim uogólnieniu taką postać świadomości, która z określonej przeszłości czerpie poglądy i normy postępowania w celu oceny i wyrażania opinii o współczesności, czego dalszym skutkiem jest formułowanie świadomych uzasadnień w programowaniu przyszłości.

Archeologia stale odgrywa istotną rolę w kreowaniu tożsamości narodowej, szczególnie tych narodów, które nie mają zbyt długiej historii pi-

sanej. Symbole narodowe niedawno powstałych państw zapożyczone bywają od artefaktów postrzeganych jako charakterystyczne dla ich przeszłości. Hobsbawm i Ranger wprowadzili ostatnio do humanistycznego obiegu pojęcie „*invented tradition*", czyli tradycji wynalezionej. Kategoria ta odnosiła się do XIX-wiecznego nacjonalizmu romantycznego, któremu towarzyszyła, zwłaszcza w latach 1870–1914, ogromna fala wznoszenia pomników narodowych, zakładania muzeów poświęconych narodowej tradycji, wypracowywania rzekomo naukowych sposobów klasyfikacji kultur i ras, kolekcjonowania rodzimego folkloru, tworzenia kanonu narodowej literatury, ustanawiania świąt narodowych, ceremonii ku czci poległych, flag, pomników, dni ustawowo wolnych od pracy. Twierdzenie o odwieczności tych tradycji było częścią ich społecznego oddziaływania. Na tym zresztą polega funkcjonowanie mitu – mit zmienia kulturę w naturę, sprawiając, że przygodne zachowania, wartości i symbole zyskują walor czegoś naturalnego, odwiecznego, samo przez się zrozumiałego.

Na całym niemal świecie obchody dnia niepodległości, wciąganie flagi na maszt, śpiewanie hymnu, święta re1igijne, parady wojskowe odbywają się corocznie według tego samego schematu, kopiując oznaki starożytności i wspólnotowości. Upatrywać w nich należy zamierzone wytwory animatorów kultury, którzy produkują je aby zaspokoić potrzeby nowoczesnych mas, nowego podmiotu politycznego. Koncepcja *invented tradition* zainicjowała więc w naukach społecznych nurt zajmujący się nie tylko tradycją, ale także wynalezionymi tożsamościami, etnicznościami, a nawet narodami.

Do utrwalania się myślenia w kategoriach przynależności narodowej doszło w dobie wyłaniania się społeczeństwa nowoczesnego. XIX i XX-wieczne programy szkolne – formułowane w ramach państwowego monopolu na edukację – kładły specjalny nacisk na nauczanie historii, oczywiście historii chlubnej własnego narodu. Nasze dziedzictwo jednak obfituje równie w arcydzieła, świetne pomniki, ducha, jak i w monstrualne nikczemności i zbrodnie; te pierwsze są głównie dziełem wybitnych jednostek, drugie – dziełem masowych wstrząśnień.

Jak w kontekście dnia dzisiejszego uzyskać w miarę obiektywne spojrzenie na badania etnogenetyczne w perspektywie archeologicznej? Powinno być to chyba ujęcie traktujące wszelkie kultury i cywilizacje jako odrośl od wspólnego pnia zakorzenionego w prahistorycznej starożytności. Tylko wtedy będziemy w stanie zrozumieć rodzimą relację wszystkich kultur i ocenić ich właściwą wartość oraz wkład jako niezależny eksperyment

w życiu społecznym. Wyrażając to inaczej można by stwierdzić, że ujęcie historii adekwatne do współczesności jest ściśle powiązane z całym bytem ludzkim, lecz trzeba jednocześnie pamiętać o tym, iż w każdym przypadku elementy tego bytu były prahistoryczne. Pozwala to na krytyczne spojrzenie i na siebie samych, pomaga też w wykształcaniu tolerancji, która uwidacznia się nie tylko w poszanowaniu własnej kultury i przeszłości, lecz także w szacunku do wszystkich kultur i historii innych społeczeństw. „Człowieczeństwo" ludzi przejawia się we właściwości wspólnego dzielenia tradycji kulturowej, jednak nie wspólnego dziedzictwa przeładowanego tradycjami, lecz wspólnych zasad postępowania, obyczajów, poglądów i informacji przechodzących z pokolenia na pokolenie oddzielnych grup ludzkich, w których się one zrodziły i z których się wywodzą.

Z perspektywy, którą uzyskujemy patrząc przez pryzmat prahistorii, wszystkie społeczeństwa, niezależnie od tego, kiedy wkroczyły w swój zurbanizowany czy „pisemny" żywot, znajdują się na jednym poziomie. Wszyscy ludzie, niezależnie od doświadczeń, jakie nabyli w czasie ostatnich paru setek generacji, dzielili wspólny proces hominizacji, rozciągający się zapewne na setki ich tysięcy. Taka refleksja ułatwia zrozumienie, dlaczego społeczeństwa, które były prahistoryczne jeszcze w XIX wieku zdolne są tak szybko przyswoić sobie zdobycze innych cywilizacji. Przez pryzmat prahistorii zdobywamy szacunek do dokonań odmiennych grup ludzkich i jednostek, stajemy się świadomi naszego człowieczeństwa. Prahistoria nie jest więc tylko nauką o tym, co egzystowało dawno temu. Warto przypomnieć, że wiele państw, które wchodzą w skład Narodów Zjednoczonych było prahistorycznymi do najnowszych czasów.

Współcześnie, kiedy tyle jest napięć i niepokojów, prahistoria jest zdolna pomóc społeczeństwom we wzajemnym zrozumieniu. Wyróżniające miejsce prahistorii polega więc nie tylko na tym, że jest jedyną nauką, która może sięgnąć do czasów, z których nie mamy pisemnych przekazów, ale także na tym, że na fundamentalne pytanie o naturę bytu ludzkiego dostarcza odpowiedzi o istotnym charakterze. Bogactwo materiałów, dzięki którym docieramy do wymarłych dawno wzorców kulturowych tworzonych przez różne grupy lokalne, nie jest wielością powielanych form – mimo że u podstawy tych form ukrywa się zasadniczo ten sam podmiot o fundamentalnie jednakowej strukturze egzystencji i jej manifestacji – ale fragmentem otwartej w przyszłość wielości historycznego przejawiania się człowieka, który tworząc określoną historycznie i tym samym ograniczoną formę swej egzystencji, nie zadowala się nią w pełni. Człowiek nigdy nie

dąży do tego by być czymś ostatecznie uformowanym, lecz znajduje się w absolutnym ruchu stawania się.

Zainteresowanie się historią myśli społecznej wpłynęło na moją coraz częstszą refleksję holistycznego spojrzenia na procesy dziejące się w przeszłości i na ich continuum w teraźniejszości. Myśl, która nurtowała mnie od początku uprawiania archeologii nazwałbym funkcją tej dyscypliny naukowej we współczesnym społeczeństwie. Myśl tę jestem w stanie wyrazić dopiero teraz, kiedy dobiegam końca mej wędrówki po drogach i bezdrożach uprawiania nauki. Zwrócenie uwagi na continuum procesów kulturowych od starożytności do współczesności pozwoliło mi w rezultacie uświadomić sobie w pełni, iż współczesny kształt kultury jest wynikiem działalności twórczej tysięcy pokoleń ludzkich, od zarania procesu hominizacji poczynając.

Nie leży obecnie w polu moich szczególnych zainteresowań rozwój archeologii jako takiej. Jestem w pełni świadom tego, jak ważna jest intensyfikacja pozyskiwania stosownych źródeł na wszystkich zaludnionych zakątkach Ziemi, jak istotne są metodyczne zabiegi i osiągnięcia zmierzające do ich chronologicznego zaszeregowania, co stanowi fundamentalną podstawę ich naukowo-historycznej wymowy i grupowania w stosowne zbiory tego kompendium zabytków. Jestem też świadom, jak istotna jest w następstwie tych zabiegów ocena, krytyka i interpretacja aspektów osadniczych, gospodarczych, kulturowych wreszcie religijnych i historycznych. Trudno byłoby w konsekwencji nie dostrzec, w jakiej dynamice osiągania stale nowych wyników znajdują się współczesne badania archeologiczne, jak bardzo oryginalne podejścia pozwalają ujrzeć w nowym świetle „stawania się" społecznych procesów rozwojowych. Dostrzegam również, na skutek jakich metod w postępowaniu badawczym osiągany jest perfekcjonizm w klasyfikacji zabytków, oraz interpretacyjne, naukowo pogłębione spojrzenie na różne dziedziny dziejów i to nie historii wydarzeń, lecz historii struktur.

To wszystko należy zasygnalizować, choć nie to jest moim celem najważniejszym. Wiedzie to tylko do postawienia fundamentalnego pytania, a mianowicie, jakie znaczenie mają te profesjonalnonaukowe wysiłki dla kształtowania się powszechnej świadomości społecznej naszych czasów. Oczywiście należy wychodzić z założenia, iż stan współczesnej świadomości historycznej nie prezentuje nawet w przybliżeniu jednolitej struktury. W związku z tym występujące współcześnie tradycyjne intelektualne dążenia – uwzględniając ich rozliczne powiązania z określonymi, aktual-

nymi kierunkami myśli społecznej – należy oceniać pod takim kątem widzenia, jak dalece są one perceptywne dla współczesnych prądów umysłowych oraz w jakim stopniu stają się realne w funkcjonowaniu tych procesów. Najnowsza przeszłość uświadomiła nam, dziwnym zrządzeniem losu, ścisłą współzależność technologicznego, ekonomicznego i cywilizacyjnego oraz militarnego rozwoju. Sugeruje to taki tok rozumowania, że ludzkość jako całość w tym właśnie momencie zaczęła nagle odgrywać w świadomości społecznej na skalę światową specjalną rolę; nie można jednak zaprzeczyć, że właśnie współcześnie, z nieprzepartą bezpośredniością globalna zbiorowość ludzka ukazuje się nam jako realna wspólnota, która stawia fundamentalne pytanie o uniwersalny wymiar swej świadomości historycznej. Uniwersalny aspekt współczesnej świadomości historycznej zawiera się zatem w doświadczeniu rzeczywistej egzystencji, nie zaś w stanowiącej dobro powszechne wiedzy historycznej. Dla nauki historii w jej profesjonalnej formie jest niezmiernie trudne znalezienie określonych, metodologicznych podejść w rekonstruowaniu obiektywnego obrazu procesów dziejowych w dziedzinie historii powszechnej mając poczucie, że ta dyscyplina długotrwale i uporczywie poddawana jest wpływom uniwersalnej autoświadomości współczesnej ludzkości i na niej ugruntowanej samowiedzy historycznej.

Jest oczywiste, że przy wyłącznym oparciu o źródła pisane, krytyczne, naukowe przedstawienie historii powszechnej nie może się udać, że dla takiego ujęcia rozstrzygające jest wykorzystanie materialnych świadectw historycznych, które są do dyspozycji także poza kulturami wysokimi. Archeologia przyczynia się przeto do naukowego rozświetlenia uniwersalnej historii ludzkości. To jej znaczenie będzie zwielokrotnione dla funkcjonującej świadomości historycznej czasów współczesnych przez okoliczność, że archeologiczne pomniki kultury – odkryte wykopaliskowo osady, cmentarzyska i miejsca kultu oraz ruchome znaleziska w muzeach i na wystawach – stają się ogólnie dostępne dla zainteresowanej publiczności i wizualnie tę świadomość uwydatniają.

Dyskutuje się współcześnie wiele nad tym, w jakim stopniu – ogólnie mówiąc – żywe zainteresowanie archeologicznymi świadectwami kulturowymi (ustalane na podstawie liczby zwiedzających wystawy i turystów oglądających ruiny w terenie) oraz uznawanie archeologii jako równoprawnej dyscypliny historycznej (ustalane w oparciu o wielkość nakładów przedmiotowych wydawnictw) jest wyrazem określonej świadomości historycznej, czy przyczyniają się do tego całkiem inne motywy? Oczywiście

nie należy tu ulegać mylnemu przeświadczeniu, że współczesne spotkania ze świadectwami archeologicznymi są wynikiem głębokiego zrozumienia procesów historycznych. Występuje tu również, jak wszędzie zresztą, powierzchowność bądź też dostosowywanie się do mody. Byłoby jednak niesłuszne w sposób generalny tak interpretować zachowania społeczeństwa w ogóle. Proces powszechnej aktywacji świadomości historycznej mógłby następować jeżeli by przyjąć, iż archeologia jako nauka funkcjonuje w społeczeństwie ogólnie zainteresowanym określonymi świadectwami historycznymi, a zarazem dysponującym dostatecznym zasobem faktycznej wiedzy o historycznej pozycji i znaczeniu tych świadectw. Dopiero wtedy bezpośredni kontakt z zabytkami archeologicznymi może wywołać u odbiorców określone skojarzenia rekonstrukcyjne ze strukturami systemowymi w przeszłości.

W związku z tym powstaje pytanie, jakie pryncypia interpretacyjne i jak dalece uogólnione pojęcia historyczne powinny być stosowane przy wprowadzaniu w obieg społeczny przekazów archeologicznych, od tego bowiem w znacznym stopniu zależy ich historyczne zrozumienie. To pytanie, mające może nie całkiem profesionalnoarcheologiczny charakter, pozostaje jednak w związku z możliwościami historycznego postrzegania. Można przy tym wyróżnić pięć podstawowych kierunków.

Pierwszy, główny kierunek wywodzi się z normatywizmu – określonego prądu umysłowego ewentualnie formacji kulturowej i ewokuje wieloznaczność realnych zjawisk w relacji do przyjmowanych normatywów. Ten tryb wartościowania może być przyjętą w zadufaniu własną samooceną historyczną, jak to czyniono w racjonalistycznym Oświeceniu na czele z Voltairem, który odmienność zjawisk historycznych usiłował oceniać jako drobną nieprecyzyjność w stosunku do jego własnej oceny. Jeżeli przy tym związane to było z różnorodnością detali kulturowo-historycznych, służyło – dzięki swej barwności – jako tło, na którym własna współczesność bardziej jaskrawo pozwalała się wyodrębniać; historyczne pojmowanie nie było przy tym zamierzone, zaś to co wcześniejsze i odmienne – uznawane było za nieistotną wartość i służyło jako środek użyty instrumentalnie w celu oceny własnej współczesności. Tego rodzaju kategoryczne stanowisko w odniesieniu do historii w ogóle, zaś do materialnych źródeł historycznych w szczególności – spotyka się do dnia dzisiejszego, najczęściej w bezrefleksyjno-naiwnej postaci wobec tradycji.

W drugim z kolei istotnym kierunku możliwych refleksji historycznych główny ciężar położony jest na rozwój myśli społecznej, z naciskiem na

różnorodność zjawisk historycznych w czasie i przestrzeni i przyporządkowaniu tego procesu jednolicie i jednorodnie pojmowanej ewolucji. Traktując to szczegółowiej – takie podejścia ewolucyjne są pojęciowo bardzo rozległe. Mogą one opierać się na technicznych i gospodarczych osiągnięciach i na tej podstawie ustanawiać stopniowalność rozwoju okresów historycznych, przy czym ocena elementów, które z technologicznych czy ekonomicznych względów w swojej genezie i rozprzestrzenieniu będą uznawane za określające epokę, może być rozmaita.

Inne aspekty ewolucjonistycznej teorii kierują spojrzenie w pierwszej linii na strukturę świadomościową ludzi i pojmują historyczne i kulturowe uwarunkowania jako przejawy konkretnych okresów świadomości, które ewoluują w określonym czasie – od prastarych, prymitywnych form do bardziej zróżnicowanych. Wbrew rozumieniu przez Hegla historii jako „stopniowego rozwoju pryncypiów, których zawartością jest świadomość wolności". Występuje współcześnie podejście ugruntowane na materialnej spuściźnie kulturowej ujawnionej przez badania archeologiczne, które ukazują w sposób widoczny, iż struktura społeczna w środkowym i młodszym paleolicie, neolicie, epoce miedzi i brązu, a także w epoce żelaza jest odzwierciedleniem ewolucji psychicznej. Rozwój w tych określonych formacjach kulturowych oraz uwidaczniającej się przez to wyraźnej świadomości ich nosicieli wykazuje intensyfikację refleksyjności oraz wyraźny wzrost przedsiębiorczości.

W trzeciej kolejności należy omówić nurt, który globalnie należałoby nazwać regionalizmem historycznym. W tym wypadku zakres zainteresowania ogranicza się do wyraźnie limitowanego obszaru tak, że funkcjonujące poza nim zjawiska historyczne nie brane są w rachubę bądź też oznaczone jako „inne" lub „obce". Najprostsza forma regionalizmu zasadza się na zainteresowaniu własną ojczyzną, przy czym obszar tych ram motywowany jest większą przejrzystością obserwacyjną wszelkich procesów, z drugiej zaś strony przez określone warunki kompetencyjne. Obok tej materialnej i po części zasadnej formy regionalizmu, jawi się także ucieleśniony historiograficznie i historycznie nacjonalizm. Ma on długą tradycję i potrafił także źródła archeologiczne wprząc w swoją służbę. Posługując się nim zwolennicy tego nurtu, przywołując związane z tym kierunkiem metodologicznie mniej lub bardziej wątpliwe interpretacje, próbują zajmować stanowisko wobec istotnych wyzwań współczesności. Z punktu widzenia teorii nauki jest to wyraźna perwersja, która jednak w kręgu nacjonalistycz-

nych koncepcji, jak i nacjonalistycznej świadomości może wywołać określoną fascynację.

Czwarty istotny model interpretacji zjawisk uchwytnych archeologicznie i w ogóle historycznie sprowadza je do wspólnego mianownika, wysuwając na plan pierwszy ich antropologiczny aspekt (przy czym określenie „antropologiczny" nie jest tu rozumiane w sensie biologiczno-somatycznym, lecz w ujęciu anglosaskiej antropologii kulturowej). Chodzi tu, najogólniej rzecz biorąc, o podstawowe struktury ludzkich zachowań, działań i motywacji, które zależne są bądź od środowiska naturalnego, bądź społeczeństwa, gospodarki lub kultury. Jest rzeczą niewątpliwą, że uzależnienia tego rodzaju posiadają istotny wymiar w procesach historycznych, jednakże w wypadku przeabsolutyzowania tego spektrum następuje niekorzystne popadanie w determinizm.

W końcu należy też nazwać historycznym paradygmatem te koncepcje, u podstaw których pozostają minione sposoby egzystencji oraz zjawiska kulturowe, o tyle o ile uchwytne są źródłowo i udokumentowane w specyficznym dla nich historyzmie, to znaczy w wyłącznej im tylko identyczności i właściwym związku z tradycją, co pozwala je odpowiednio przedstawić i zrozumieć. Ujmując to szczegółowiej, takie zjawiska mogą mieć bardzo rozległą różnorodność. Wartościowanie ich w takim podejściu polega na tym, że nie ulegają one kategoryzacyjnym normom sposobu myślenia zwykle ograniczającym obraz historii, a więc nie koncentrują się w klasyfikacji bądź to na normatywizmie, bądź na przedstawieniach emocjonalno-narodowych czy strukturach antropologicznych, lecz dysponując dostępnym zasobem źródeł o znacznej rozmaitości postulują poznawanie rzeczywistości i ujmowanie zjawisk zwłaszcza społecznych i kulturowych w sposób historyczny, to jest ze względu na ich powstanie, rozwój i warunki dziejowe.

Warto w tym miejscu poświęcić nieco więcej uwagi Johanowi Wolfgangowi Goethemu jako twórcy o wszechstronnych zainteresowaniach, łączącego wyobraźnię poetycką z dociekliwością badacza naukowego. Goethego można uznać za kompetentnego prekursora podobnie ustrukturalizowanego poglądu historycznego jak wyżej zaprezentowany. Nadał on temu tropowi odpowiednią głębię i bezpośredniość. Jego spotkanie z katedrą w Straβburgu pozwoliło mu doznać doskonałości i spełnienia historycznej głębi i możliwości gotyku, co w połączeniu z włoską sztuką antyczną i łączność z naturą wpłynęło na rozwój wysokiego kształtu życia. Jego naturalna skłonność antykwaryczna, która była mu właściwa od młodości i towarzy-

szyła przez całe życie, związała go blisko ze spuścizną kulturową różnych okresów i różnych części globu od epoki kamienia aż po nowożytność. Przy czym ta uniwersalna ciekawość nie zadowalała go, kiedy ograniczała się do poznania wyizolowanych, pojedynczych zjawisk, lecz spontanicznie łączyło się to w nim z potrzebą tworzenia wewnętrznego związku i wyjaśnianiu istoty rzeczy. Wielokrotnie wyrażał swe niezadowolenie w stosunku do politycznych i militarnych wydarzeń w historii świata ubolewając, że czyste, literackie przekazy pozwalają tylko na ukazywanie „bezkrwistych obrazów cieni" (*blutlose Schattenbilder*). Podkreślał też, że każdy realny relikt przeszłości pociąga swoim urokiem wrażliwy umysł oraz sprowadza znajdujący się w nim fragment przeszłego bytu do bezpośredniej bliskości, a przez zrozumienie jego znaczenia czyni go częścią składową współczesnego życia. Dla podkreślenia znaczenia obiektywnych świadectw historycznych istotna jest jego sentencja: „swym zmysłom winieneś zaufać i niczego fałszywym nie ujrzysz, jeśli rozum twój będzie czujny" (*Den Sinnen hast du dann zutrauen, kein Falsches lassen sie dich schauen, wenn dein Verstand dich wach erhält*). Jeżeli nawet przyjąć, że Goethe nie uważał badań historycznych za równie istotne co twórczość literacka, należy mu mimo to przypisać decydującą rolę w kształtowaniu określonej, nowoczesnej i trzeźwej świadomości historycznej. Kiedy Goethe stwierdza, że „historia świata powinna być od czasu do czasu przepisana na nowo, oraz że co do tego w naszych czasach nie powinno być żadnej wątpliwości", w tym momencie zwraca się on przeciwko pragmatyzmowi i moralizatorstwu zarozumiałego racjonalizmu XVIII wieku. Antycypując skłania się Goethe do rozumnej, krytycznej oceny procesów historycznych, nacechowanej szacunkiem i wyrozumiałością z gotowością ich zaaprobowania. Znacząca i charakterystyczna dla epoki romantyzmu jest jego maksyma, iż „nie uznaje się czegoś, czego się nie ceni". Jest to nowa, entuzjastyczna postawa, zgodnie z którą winny być postrzegane historyczne formy różnych kultur i okresów czasowych.

Kiedy ogarniamy ogólnym spojrzeniem wyżej nakreślone idee przewodnie oraz pryncypia procesów ogólnohistorycznych, wtedy skłaniać się można do refleksji, że paradygmat oparty na historyzmie okazać się może najwłaściwszym narzędziem metodologicznym do obiektywnej oceny roli źródeł archeologicznych w ich wszechstronnym funkcjonowaniu w procesie formowania się świadomości historycznej. Oczywiście nie należy niedoceniać wartości podejścia ewolucjonistycznego, jak też racjonalistycznych

czy antropologicznych punktów widzenia, mają one bowiem swe uzasadnienie i wartość.

Na wielu obszarach świata ujawnia się współcześnie szczególny stosunek określonych społeczeństw i etnikonów do oceny dziedzictwa archeologicznego i jego związku z obecnym terytorium zamieszkania tych grup ludności oraz szczególnego znaczenia tej kategorii spuścizny kulturowej w uzmysłowieniu świadomości historycznej. To co zaczęło się kształtować w krajach europejskich w okresie romantyzmu, odgrywa obecnie w społeczeństwach południowej, wschodniej i środkowej Azji, a także w Afryce i Ameryce Łacińskiej, stale rosnącą rolę. Przy uprzytomnianiu sobie narodowej tożsamości, źródła archeologiczne – zarówno te stanowiące fragment krajobrazu, jak i te ruchome w muzeach – uznawane są za świadectwa korzeni własnej tożsamości historycznej, przy czym nie jest to uważane za równoznaczne z kontynuacją etniczną, ale pojmowane jako historia obszaru, który uznaje się za terytorium własnego życia i dziedzictwo tradycji. Świadomość dziedzictwa historycznego, łączone z określoną spuścizną archeologiczną, kształtuje z jednej strony poczucie odpowiedzialności za badanie tego dziedzictwa oraz poznawanie i dbałość o jego relikty; przywodzi też równolegle refleksję, aby tę w określony sposób udowodnioną oraz swoiście zinterpretowaną historię uznawać za podstawę własnej narodowej egzystencji. Tak dalece, dokąd to pozostaje w granicach wyraźnej, regionalnej kompetencji i o nią opartej miłości ojczyzny oraz ogranicza się na przykład do konkurencji z sąsiednimi wspólnotami, przejawiającej się między innymi w rozwoju badań naukowych i opiece nad zabytkami, jest ten wyróżniający się aspekt świadomości historycznej wartościowy i godny poparcia. Rozumieć to należy oczywiście nie schematycznie, lecz w odniesieniu do stosownie znamiennych właściwości, postrzeganych w zjawiskach kulturowych, które odgrywają określoną rolę w wielopostaciowej strukturze świadomości historycznej. Ta refleksja ma swą wartość tak dalece, o ile te aspekty nie będą przeabsolutyzowane i użyte jako wiodące kategorie wartościujące określone zjawiska historyczne oraz świadomość historyczną. Niestety, występują jeszcze ustawicznie przykłady na to, że archeologia używana jest służebnie do budowania normatywnej albo ewolucjonistycznej lub co gorsza do nacjonalistycznej świadomości historycznej. Pocieszający jest jednak fakt, że koncepcje te dają o sobie znać coraz rzadziej. Istotnym zadaniem archeologii jako nauki historycznej jest ukazywanie jednostkowych zjawisk w ich historycznym zindywidualizowaniu jako wyrazu regionalnej tradycji, ale zarazem interregionalnych kontaktów oraz pow-

szechnego rozwoju. Kontekst, w którym występuje określony szczegół umożliwia nam jego historyczne zrozumienie oraz poprzez zindywidualizowane poznanie umożliwia temu szczegółowi stać się genetycznie i organicznie częścią wspólnej struktury ludzkości. Nie znaczy to jednak, że takie podejście umożliwi bezpośrednie przewartościowanie wyników profesjonalnych badań archeologicznych w żywą świadomość historyczną.

Powszechne zainteresowanie szerokich kręgów współczesnego społeczeństwa na wszystkich kontynentach świata skierowane na materialne źródła historyczne wychodzi naprzeciw archeologii jako nauce społecznej, oczekując słusznie z jej strony usystematyzowania, interpretacji i profesjonalnego przedstawienia w określonych zarysach wyników badań, co umożliwi upostaciowienie uniwersalnej historii kultury. Skutkiem tego osiągnie się możliwość ukazania globalnych powiązań kulturowych, które niekoniecznie muszą się opierać o aktualnie realne kontakty, wszakże nawet wtedy te wyizolowane fragmenty ekumeny ludzkiej można by uznać za część uniwersum.

Niech mi więc wolno będzie stwierdzić, że bardziej niż świadectwa językowe czy źródła pisane, które szczególnie uzewnętrzniają określone wartości etniczne i narodowe – archeologiczne dziedzictwo kulturowe pozwala pełniej ujrzeć i ugruntować uniwersalność obrazu historycznego.

Biorąc pod uwagę to co do tej pory powiedziałem, pragnę zwrócić uwagę na aspekty bardziej ogólne dotyczące historii i jej roli jako *magistra vitae*. Historia nie jest więc, moim zdaniem, tylko zbiorem i rejestratorem przebiegu najprzeróżniejszych wydarzeń, lecz prezentuje dialog ludzkości samej z sobą. Ten dialog realizowany jest twórczo poprzez wartościowe pisarstwo demonstrujące się zarówno w zakresie literackim, filozoficznym, teorioprawnym, państwowym, jak i teologicznym. Historia w takim ujęciu to nie tylko rejestr wydarzeń, lecz dzieje społeczeństwa i kultury. Jeśli utracimy świadomość historyczną jako naszą własność jako część nas samych, a razem z nią zdolność do odpowiedzi na pytanie: kim jesteśmy? – utracimy tym samym nieutylitarne racje do życia, grozi nam chaos duchowy i pustka.

Andrzej Koszmider

PRZEZNACZENIE I WYBORY

Wstęp

Kiedy otrzymałem od władz Łódzkiego Towarzystwa Naukowego propozycję napisania wspomnień dotyczących mojej drogi, która doprowadziła mnie do nauki i tytułu profesora, przyjąłem ją z „pewną nieśmiałością". Po pierwsze z obawą, czy aby nauka, w której się znalazłem i moje w niej osiągnięcia na takie wyniesienie zasługują. Po drugie, jeśli kiedykolwiek myślałem o nauce, zawsze pojawiały się gigantyczne sylwetki takich arcymistrzów myślenia, jak Demokryt, Arystoteles, Farady czy Einstein. Na tym tle moja codzienna praca jako element zorganizowanego mechanizmu w tak zwanej działalności naukowej, zmierzająca w najlepszym przypadku do starań, aby coś ulepszyć, może uporządkować jakiś zapomniany zakamarek wiedzy, wydaje się czymś niezwykle drobnym, o bardzo lokalnym charakterze. Zestawienie, o którym wspomniałem wyżej działa wprost paraliżująco. Po tych wynurzeniach i wątpliwościach zabrałem się jednak do „roboty", tłumacząc sobie, że może i takie małe drogi prowadzące do skromnych wyników okażą się dla kogoś interesujące czy nawet pożyteczne, a w każdym razie, mogą być jakimś świadectwem czasu.

Każda droga gdzieś się zaczyna i prowadzi nie zawsze prosto, czasem przychodzi zawracać i zaczynać od początku, aż w końcu osiąga się jakiś punkt, do którego wydaje nam się, że dążyliśmy. Dlaczego wybieramy tę lub inną drogę? Myślę, że każdy zastanawiając się nad swoim czasem przeszłym napotka pytania: czy to tak być musiało?, czy to przypadki prowadzą nas przez życie?, czy ktoś tym kieruje aktywnie?, a jaki jest udział własnej woli?

W moim życiu wiele ważnych wydarzeń i decyzji powstało jakby bez mojego zaangażowania. Nie oznacza to, że szedłem w kierunkach, w których iść nie chciałem lub że nie angażowałem się w to, czym się zajmowałem, ale oznacza, że moje decyzje pojawiały się jakby przypadkowo, można by powiedzieć – spontanicznie. Ot, ktoś w rozmowie towarzyskiej wspomniał o czymś dla mnie nowym – zaczynałem o tym myśleć, a po pewnym czasie byłem przekonany, że muszę się tym zająć. I zajmowałem się. Inaczej mówiąc, łatwo poddawałem się inspiracji wydarzeń, a także ludzi – może zbyt łatwo? A może wynikało to z tego, że właściwie na żadnym etapie nie miałem opracowanej własnej długofalowej strategii życia, o ile taką strategię w ogóle da się mieć.

Etapy życia układają się szeregowo, a zgodnie z teorią dra Zygmunta Freuda rola wydarzeń z okresu dzieciństwa odciska się na całej reszcie życia szczególnie znacząco. Zacznę więc od dziecinnych wspomnień, zwłaszcza iż moje dzieciństwo, podobnie jak moich rówieśników, przypada na okres w Polsce szczególnie dramatyczny.

Wspomnienia z dzieciństwa

Okres przedwojenny i wrzesień 1939 roku

Urodziłem się w Łodzi 19 września 1935 roku w Szpitalu Betlejem, który mieścił się na rogu obecnych ulic Marii Curie-Skłodowskiej i Lipowej. Niestety, od początku sprawiałem poważne kłopoty. Poród mój był bardzo trudny i mama moja Antonina z domu Furmaniak ledwo uszła z życiem. W szpitalu panowała infekcja czyraczności niemowlęcej i część noworodków, między innymi ja, po kilku dniach po porodzie pokrywała się na całym ciele czyrakami, co prowadziło do zgonu.

Niestety do nagrody Nobla za penicylinę brakowało jeszcze kilkunastu lat, więc los zainfekowanych niemowlaków był właściwie przesądzony. I wówczas ojciec mój Wacław w przypadkowej rozmowie dowiedział się, że jest w Łodzi lekarz, który potrafi wytworzyć szczepionki dla niemowlaków, w wielu przypadkach skuteczne. Po rozmowie z nim okazało się, że pracuje on nad lekiem pobudzającym organizm dzieci, a szczególnie noworodków, do wytwarzania przeciwciał. Lek był bez żadnych zezwoleń

i gwarancji, ale wobec pogarszającego się mojego stanu, rodzice, zamiast bezradnej bezczynności, zdecydowali się na tę kurację. Wówczas po raz pierwszy, ale nie po raz ostatni, otarłem się o „tamten świat". Do dziś na całym ciele znajduję blizny pamiętające to wydarzenie. Lekarz nazywał się Olszewski (niestety, nie pamiętam imienia). Po wojnie odwiedziliśmy go z rodzicami w jego mieszkaniu w Łodzi na Kościuszki przy Zamenhofa. Miałem także okazję opowiedzieć tę historię jego synowi, mniej więcej mojemu rówieśnikowi, kiedy byliśmy w wieku licealnym.

Rodzice autora – 1933 rok

Z czasów przedwojennych pamiętam niezwiązane ze sobą pojedyncze „migawki" z życia. Pamiętam mundur mego ojca Wacława, który był zawodowym wojskowym, a także jego szablę. Zwłaszcza pamiętam na rękojeści szabli elementy ozdobne rozszczepiające promienie świetlne, co na mnie robiło wrażenie czegoś nadzwyczajnego. Utkwił mi także w pamięci sąsiad rodziców pan Kapczyński, a właściwie głównie jego fortepian, na którym grywał. Pamiętam także, że grywał razem z moim ojcem – grającym na skrzypcach. Te skrzypce mojego ojca miały w przyszłości do odegrania ważną rolę w naszej rodzinie.

Gwiazdka dla dzieci oficerów i podoficerów Garnizonu Łódzkiego
w roku 1938; autor w środku w pierwszym rzędzie, w białej bluzce

Lato 1939 roku spędzaliśmy w Świnicach Warckich (znanych obecnie jako miejsce urodzenia św. Faustyny), w domku letniskowym, który wybudował tam w 1938 roku mój dziadek Szczepan Furmaniak. W Świnicach pracowała jego najmłodsza córka Eugenia i jej mąż Marian Jakubowski. Ukończyli oni seminarium nauczycielskie i w ramach akcji „Siłaczka" zdecydowali się podjąć pracę nauczycielską na wsi. W 1939 roku w połowie sierpnia ojciec mój wyjechał ze Świnic do Łodzi do swojej jednostki, my pozostaliśmy i tu zastał nas front. Miałem wówczas prawie cztery lata, więc już sporo pamiętam. Przypominam sobie pędzących na koniach kilkunastu polskich żołnierzy. Galopowali szosą od miejscowości Kraski, a atakował ich niemiecki samolot, który zawracał wielokrotnie, strzelając do jeźdźców. Ułani czy szwoleżerowie wpadli do wsi i kryli się pod strzechami domów, także naprzeciw naszego domku, i przez słomiane strzechy przekładali karabiny oddając strzały w kierunku samolotu. Moje emocje musiały być wielkie, bo do dziś wydaje mi się, że kilku z nich byłbym w stanie rozpoznać, oczywiście gdyby wyglądali tak jak wówczas. Musieliby to być chyba ich wnukowie.

Moja mama wraz ze swoją starszą siostrą Franciszką, która z córką Jadzią znalazła się na wakacjach latem u dziadka Szczepana, postanowiły przeczekać przejście frontu w pobliskim majątku Zbylczyce u znajomych –

hrabiostwa Orzechowskich. Dwór w Zbylczycach zapamiętałem jako pełen uciekinierów. Pamiętam Hrabinę, w długiej ciemnej sukni, troszczącą się o uciekinierów, przynoszącą napoje i pożywienie. Hrabiego nie przypominam sobie, pamiętam jedynie, że mama po rozmowie z nim mówiła, że jest zupełnie załamany. Po dwóch, trzech dniach pojawili się żołnierze niemieccy. Wszystkim przybyszom rozkazali powrót do swoich domów, więc i my wróciliśmy do Świnic. Podczas wyjazdu z majątku mama i ciocia płakały, bowiem już wiedziały, że hrabia, którego mama znała z Łodzi, podczas zajmowania dworu i majątku przez Niemców, popełnił samobójstwo.

W Świnicach już byli żandarmi niemieccy, w zielonych mundurach z charakterystycznymi hełmami. Kilka godzin po naszym powrocie pojawiło się dwóch żandarmów w celu zaaresztowania wujka Mariana, nauczyciela ze Świnic, oraz mojego ojca, o którym wiedzieli, że był tu na wakacjach. Mego taty nie było, poszedł na front, wujka zabrali. Tę scenę pamiętam dokładnie, wydaje mi się, że mógłbym wskazać miejsce, w którym stali ci żandarmi. Wujka Mariana więcej nie widzieliśmy. Po kilku tygodniach ciocia Gienia, która była wówczas w zaawansowanej ciąży, otrzymała pismo od komendanta obozu w Mauthausen–Gusen, powiadamiające, że jej mąż Marian Jakubowski, więzień obozu, zmarł na serce. W kościele w Świnicach jest tablica upamiętniająca między innymi śmierć wujka Mariana.

Ojciec mój był poszukiwany przez Niemców przez całą okupację i prawie całą okupację ukrywał się zmieniając wygląd i dokumenty. Został rozpoznany i aresztowany przez Niemców na Dworcu Kaliskim w styczniu 1945 roku, kilka dni przed wyzwoleniem Łodzi, kiedy sądząc, że Niemcy mają ważniejsze sprawy na głowie, postanowił powrócić do Łodzi, aby być z nami podczas spodziewanych walk o Łódź.

Okupacja i wyzwolenie

Po powrocie w połowie października ze Świnic do Łodzi zostaliśmy wyrzuceni z mieszkania przeznaczonego dla Niemców i znaleźliśmy się w jednym pomieszczeniu przy ulicy Kątnej 32 na rogu ulicy Różanej, w tak zwanym domu Schmita. Ulica Kątna w czasie okupacji nazywała się Sangerstrasse, a obecnie Wróblewskiego. Mieszkaliśmy tam całą okupację, na trzecim piętrze, w jednym pokoju o powierzchni około 25 m^2, bez dopływu wody, w pięć osób, a mianowicie: moja mama i jej siostra, owdowiała ciocia

Gienia, dwóch jej synów, czyli moich kuzynów – mój rówieśnik Jędruś i urodzony 1 listopada 1939 roku, Staś.

Głównym źródłem utrzymania tej całej rodziny była praca mojej mamy u Niemca Dicoffa w kwiaciarni przy ulicy Rzgowskiej 52, ciocia Gienia pracowała dorywczo w fabryce Plichala, a wykorzystując swój zawód nauczycielki udzielała nielegalnie lekcji polskim dzieciom. Skala tych lekcji była niewielka, bowiem wszystko musiało być utrzymane w największej tajemnicy i mogło dotyczyć wyłącznie osób o największym zaufaniu. Za uczenie potajemne w języku polskim w tak zwanym Warthegau (Kraju Warty), do którego Łódź należała, groziło zesłanie do obozu koncentracyjnego, a przy większej liczbie uczniów nawet śmierć. Wszak pierwszymi ofiarami Niemców, wśród których był mój wujek Marian, byli nauczyciele.

Okres okupacji niemieckiej rozpoczął się, kiedy kończyłem cztery lata, a zakończył się w roku, w którym kończyłem 10 lat, dlatego zachowane w pamięci wydarzenia są, w miarę upływu czasu coraz pełniejsze, a sam moment wyzwolenia pamiętam już całkiem nieźle. Najważniejszym wrażeniem, jakie pozostało z tego okresu było poczucie ciągłego zagrożenia, a właściwie ciągłego strachu. Jak mocno odbijał się on na dzieciach, które przecież w wojnie nie brały udziału, niech świadczy powtarzający się uporczywie sen:

> Na lekko wznoszący się teren zalesiony młodymi jeszcze sosenkami wchodziła tyraliera niemieckich żołnierzy z karabinami w rękach. Ja wraz z innymi Polakami, nie wiem czy żołnierzami, czy partyzantami, leżałem ukryty pod sosenkami. Na dany sygnał rozpoczynaliśmy ostrzał zbliżających się Niemców. Ja zawsze miałem tak zwaną „pepeszę" z charakterystycznym dyskowym magazynkiem. Po pewnym czasie, mimo naszego ostrzału Niemcy zbliżali się coraz bardziej, a ja w pewnej chwili orientowałem się, że pozostałem sam. I za chwilę będzie koniec. Czasem w tym momencie się budziłem, czasem dochodziło do walki wręcz z najbliższym Niemcem.

Miarą siły, z jaką odcisnęły się pozostałości owego strachu okupacyjnego oraz tego, jak dziwne prawa nimi rządziły, niech będzie fakt, że sen ten powtarzał się systematycznie do roku 1970 prawie codziennie, a dokładnie do dnia, kiedy dowiedziałem się, że Willi Brandt podpisał z Polską słynny układ. Od tego czasu sen nie pojawił się ani razu, choć w dalszym ciągu ze szczegółami i w kolorze bardzo dobrze go pamiętam.

Z faktów, powiedzmy historycznych, przypominam sobie ogłoszenie rozlepione w języku niemieckim i polskim, na którym były zdjęcia z odkry-

tych grobów polskich oficerów zamordowanych w roku 1940 przez NKWD w Katyniu. Niemcy pokazywali, czym grozi przyjście do Polski Armii Czerwonej. Pamiętam także, że w moim otoczeniu nie dawano wiary temu uważając, że to tylko propaganda niemiecka, a rzeczywistymi sprawcami byli sami Niemcy.

Życie w Łodzi, która zgodnie z planami Hitlera miała należeć do Rzeszy i nazywała się Litzmanstadt, było dla Polaków znacznie cięższe niż w tak zwanej Generalnej Guberni. Polacy mieli stąd zniknąć, a o żadnych polskich kawiarniach czy kinach, tym bardziej urzędach, nie było mowy. Panował wszechwładnie język niemiecki – wszelkie napisy, nazwy ulic, ale także załatwianie jakichkolwiek spraw urzędowych czy usługowych odbywało się w języku niemieckim; uczenie polskich dzieci było zabronione. Problemy z wyżywieniem w Polsce, poza wsią, były ogromne, a w miastach Warthegau wśród Polaków panował głód. Jedynych witamin dostarczała brukiew, którą dało się czasami naszym mamom zakupić. Nie było mowy na przykład o maśle, choć pamiętam, że mama zamieniła ze znajomą Niemką na paczkę masła mojego wspaniałego konia na biegunach pokrytego prawdziwą skórą końską, brązową w białe łaty. O istnieniu słodyczy również nie było mowy. Żebyśmy wiedzieli, że coś takiego jak słodycze istnieje, wujek Stacho, który jako farmaceuta pracował w aptece na końcu ulicy Kątnej, wybierał lekarstwa – pastylki możliwie neutralne dla zdrowia, w słodkiej polewie – i traktując je jako nagrodę za wyjątkowe zachowanie czy osiągnięcie częstował nas nimi. Piszę nas, mając na myśli dwóch synów cioci Gieni.

Stanowiliśmy zgrany zespół i, zwłaszcza odkąd Stasiu umiał już chodzić, odgrywaliśmy na podwórku i w okolicy domu istotną rolę. Naszymi bezpośrednimi prześladowcami byli niemieccy chłopcy, mieszkający w domach pod nr 17., którzy najczęściej pokazywali się w mundurach Hitlerjugend. Domy przy ulicy Kątnej 17 pobudowane zostały przez Richterów przed wojną dla pracujących w ich fabrykach wyższych urzędników i kadry technicznej. W czasie wojny zamieszkali tam Niemcy, a wejście na podwórko, rozciągające się wzdłuż długiego ciągu budynków, było zamknięte bramą, przed którą stali wartownicy niemieccy. Chłopcy z Hitlerjugend, w naszym wieku lub nieco starsi, wychodzili z domu pod 17., najczęściej czwórkami i ze śpiewem, szli pewnie do szkoły czy na inne zajęcia. Kiedy jednak wychodzili w grupie kilkuosobowej my musieliśmy uciekać, bo podchodzili do bawiących się dzieci polskich, zaczepiali je i prowokowali bójki. Oczywiście nie mogliśmy się bronić, bo za uderzenie hiltlerjugen-

dowca groziły kary, do wywiezienia całej rodziny broniącego się dziecka polskiego włącznie. Te wspomnienia były pewnie powodem mojego wielkiego smutku, który trwał dość długo, po tym jak prasa doniosła, że Papież Benedykt XVI był członkiem Hitlerjugend.

Najważniejszym wrażeniem z tamtego okresu był strach, że któraś z naszych mam nie wróci do domu po pracy. Ciągle kogoś zabierano na tak zwane roboty lub do pracy do Niemiec czy do obozu. Naszym mamom długo się udawało, ale w końcu 1944 roku ciocia Gienia trafiła na „roboty", do kopania rowów przeciwczołgowych.

17 stycznia 1945 roku nastąpiło słynne „oświetlenie" Łodzi przez samoloty radzieckie. Pamiętam datę, bo były to imieniny mojej mamy Antoniny. Sam nalot przeleżeliśmy w bruzdach po ziemniakach na polu, gdzie obecnie stoi Elektrociepłownia EC 2 przy ulicy Wróblewskiego. Była wówczas sroga zima. Moja mama przewidując walki o Łódź postanowiła nas wyprowadzić poza Łódź, do domu pana Kowalskiego, znajomego rodziców. Dom ten znajdował się pod Aleksandrowem Łódzkim. Niezbędne rzeczy zapakowane zostały na sanki i ruszyliśmy w kierunku Aleksandrowa. Po drodze spotykaliśmy czołgistów niemieckich na ogromnych – jak mi się wówczas wydawało – czołgach, starających się nas przekonać, że tam gdzie idziemy, już są Rosjanie. Mama moja dobrze znała język niemiecki, bowiem swoją pracę zawodową zaczynała w znanej w Łodzi firmie holenderskiej Van de Weg, w której właściciele porozumiewali się z zatrudnionymi po niemiecku, i dzięki temu potrafiła, udając Niemkę, wytłumaczyć, że z miejsca, do którego idziemy mamy zapewniony transport do Niemiec.

Na ulicy Aleksandrowskiej spotkaliśmy oddziały niemieckie, których dowódcy zaczynali powątpiewać w to tłumaczenie i mama zdecydowała się zejść z głównej drogi. Dalej przebijaliśmy się już przez zasypane śniegiem pola. W pewnym momencie z tyłu z prawej strony zobaczyliśmy wysokie płomienie palącego się budynku fabrycznego w odległości kilku kilometrów. Byliśmy przekonani, że to efekt wczorajszego nalotu samolotów radzieckich. Tymczasem, jak się później dowiedzieliśmy, to Niemcy palili żywcem więźniów obozu w fabryce na Radogoszczu.

Wreszcie dotarliśmy do domu pana Kowalskiego, gdzie zostaliśmy przyjęci i przydzielono nam pokoik na pierwszym piętrze. Domek stał przy drodze, a z drugiej strony, w odległości około 150–200 m, zaczynał się las. Nastrój ogólnego zadowolenia z tego, że udało nam się dotrzeć do stojącego na odludziu domku, gdzie będziemy mogli spokojnie przeczekać przejście frontu, przerwał widok żołnierzy niemieckich wychodzących z la-

su i rozpoczynających kopanie okopów na przedpolu tego lasu. Oddział niemieckich żołnierzy liczył kilkadziesiąt osób, była to więc prawdopodobnie kompania. Wkrótce drogą po przeciwnej stronie domu zaczęły przejeżdżać czołgi rosyjskie i samochody z żołnierzami czerwonoarmistami, które od zachodu obchodziły Łódź. Niemcy zostali wykryci i zaczęła się wymiana ognia. Przebywające w domu pana Kowalskiego osoby, wraz z gospodarzami, w popłochu zeszły do obszernej na szczęście piwnicy, a wokół nas rozpoczął się prawdziwy bój. Niemcy nie mieli artylerii, tylko karabiny maszynowe i, oczywiście wobec ogromnej przewagi „krasnoarmiejców", po kilkugodzinnej walce zostali zlikwidowani. Dom, w którym byliśmy pozostał prawie nieuszkodzony.

Tymczasem w sąsiedztwie zatrzymał się oddział żołnierzy radzieckich, którym nocleg wypadł akurat tutaj. Wieczorem czy może już w nocy widzieliśmy tam rozpalone dwa wielkie ogniska, na których opiekane były świniaki, a wokół ognisk uwijali się żołnierze. Wrażenie było niesamowite. Był to oddział, w którym przeważali żołnierze pochodzenia azjatyckiego – niskiego wzrostu, o tatarskich rysach – uwijający się w świetle ognisk na śniegu przy dzieleniu tusz świńskich i popijający z ogromnych butelek przechodzących z rąk do rąk. Patrzyliśmy na to jak na jakiś ruchomy obraz sprzed wieków, przerażeni tym, jak wyglądają nasi wyzwoliciele i zdobywcy. Rano nie było już żołnierzy radzieckich, natomiast w okopach pod lasem zostały pozostałości po żołnierzach niemieckich. Mimo ostrzeżeń rodziców we trzech poszliśmy obejrzeć, co jest w opuszczonych okopach. Poszedłem tam ja i jeszcze dwóch chłopców – jeden w moim wieku i syn gospodarza Radek, starszy od nas o dwa, trzy lata. W okopach i wokół nich leżały karabiny, granaty, czapki, hełmy, plecaki, maski gazowe, stały karabiny maszynowe. Wszystko prawdziwe. Dla około dziesięcioletnich chłopców był to prawdziwy raj i, mimo leżących dookoła zwłok żołnierzy niemieckich, zaczęliśmy przymierzać hełmy, oglądać karabiny i wszystko co tylko było do oglądania. Rodzice wkrótce zorientowali się gdzie jesteśmy i usłyszeliśmy zdecydowane wezwanie do powrotu. My, młodsi, bardziej posłuszni, natychmiast, mimo tych „zabawek" w okopach, ruszyliśmy w kierunku domu, wpadając w lej po pociskach. Radek zawołał: „Zaraz idę" i za chwilę usłyszeliśmy za nami huk, a potem zapadła cisza. Wróciliśmy i zobaczyliśmy Radka leżącego na wznak, nieprzytomnego, zakrwawionego, z rozszarpanym kawałkiem piersi. Mimo natychmiastowej i intensywnej pomocy ze strony przebywających w domu, wśród których był

lekarz, Radek zmarł. Chłopca, który był ze mną i mnie od tego samego losu dzieliło mniej niż 10 m.

Po naszym powrocie do Łodzi na ulicę Kątną powitaliśmy mojego ojca, który był kilka dni wcześniej aresztowany na Dworcu Kaliskim i przewieziony do obozu przejściowego w Pabianicach. Udało mu się uwolnić, bowiem Niemcy, uciekając w popłochu wobec okrążenia Łodzi od zachodu i wschodu, szczęśliwie pozostawili w spokoju więzionych w obozie i przeznaczonych do wywózki Polaków.

Zaczął się straszliwy głód. Chleb kupował mój ojciec w pobliskiej piekarni Beka, stojąc całą noc w kolejce. Poza chlebem prawie nic nie można było kupić. Tymczasem na dokładkę zameldował się u nas oficer rosyjski z rozkazem zakwaterowania. W jednym pokoju były dwie kobiety – moja mama i ciocia Gienia, która wróciła z „robót" – nasza trójka chłopców, mój ojciec i jeszcze dodatkowo oficer rosyjski. Oficer ten od razu zainteresował się leżącymi na szafie skrzypcami mego ojca, które jakoś przetrwały wojnę. W pierwszej chwili myśleliśmy, że będzie to „dobrowolny" haracz, z pobierania którego już w ciągu paru dni poznano czerwonoarmistów. Na ogół zabierane były „cziasy". No cóż, ten widocznie lubił skrzypce. Ojciec drżącymi rękoma otwierał futerał. Rosjanin wziął skrzypce do rąk, popatrzył na nie z czułością i spytał, czy może coś zagrać. Podstroił instrument i zagrał. Była to kadencja I części *Koncertu D-dur* Beethovena. Słuchaliśmy z zachwytem. Okazało się, że oficer był muzykiem. Zawodowym skrzypkiem z Filharmonii Leningradzkiej, który oderwany przez wojnę od skrzypiec, tu w tych jakże niezwykłych warunkach, miał okazję zagrania.

Nocował u nas chyba dwie noce, śpiąc na swoim kocu na podłodze, ale potem przez co najmniej tydzień przychodził wieczorem pograć na skrzypcach. Za każdym razem przynosił chleb oraz kilka puszek z mięsem lub rybami. Dzięki rosyjskiemu oficerowi, a właściwie dzięki skrzypcom ojca, przetrwaliśmy przez najgorsze pierwsze kilkanaście dni po wyzwoleniu. Odchodząc na Berlin, Grigorij obiecał, że w drodze powrotnej odwiedzi nas, bo bardzo się polubiliśmy. Zwłaszcza zakolegował się z moim ojcem, który świetnie mówił po rosyjsku, bowiem do szkół w Warszawie chodził jeszcze „za cara". Niestety, Grigorij nigdy nas nie odwiedził. Albo nie dotrzymał danego słowa, albo został na zawsze gdzieś w drodze do Berlina.

Wkrótce przenieśliśmy się do mieszkania przy Piotrkowskiej 271, gdzie mieszkaliśmy do lat sześćdziesiątych, czyli do końca mojej drogi edukacyjnej. Chciałbym wspomnieć tu jeszcze jedną ofiarę wojny z osób bardzo mi bliskich. Był nią mój kuzyn Jędruś, z którym spędziłem całą okupację

mieszkając w pokoju przy ulicy Kątnej. Jędruś już na początku lutego, po powrocie cioci Gieni do Świnic do odzyskanego domku dziadka Szczepana, dostał zapalenia ślepej kiszki i został przewieziony do szpitala do Konina. Przywieziono tam w tym czasie bardzo duży transport rannych żołnierzy po bitwach o Wał Pomorski. Nieliczni lekarze nie mieli czasu dla 10-letniego chłopca. Jędruś czekając na operację, umarł w szpitalu z zapaleniem otrzewnej powstałym po pęknięciu wyrostka robaczkowego. Jest pochowany na cmentarzu w Świnicach.

Moje szkoły i studia

Szkoła powszechna Zimowskiego

Wojna dla Łodzi skończyła się w styczniu 1945 roku, wybuchem entuzjazmu, biało-czerwonymi wstążeczkami w klapach ubrań. Na ulicach pojawili się funkcjonariusze powołani przez władze polityczne przybyłe z wojskiem pilnującym porządku, z biało-czerwonymi opaskami i karabinami. Znaleźli się tu także, siejąc panikę, pijani rosyjscy żołnierze. Sklepy przy Piotrkowskiej, na wystawach których jeszcze kilka dni wcześniej stały portrety Adolfa Hitlera, miały porozbijane witryny, powyłamywane drzwi i oczywiście były splądrowane. Spotkać można było pozostałych w Łodzi Niemców, wczorajszych „panów świata", z pokornie opuszczonymi głowami, porządkujących i sprzątających ulice. Pamiętam katedrę łódzką, która podczas okupacji była zamieniona na magazyn. Wewnątrz stały do wysokości 2–3 m skrzynki, w których znajdowały się torebki z szarym proszkiem o niewiadomym dla mnie pochodzeniu.

Gdzieś w marcu zostałem zapisany do szkoły powszechnej przy ulicy Piotrkowskiej 120 (chyba). Była to szkoła prywatna Wesołkówny. Zapisano mnie do klasy IV, bo na taki poziom oceniała mnie ciocia Gienia, która podczas okupacji przerabiała z nami, czyli ze mną i Jędrusiem program kolejnych klas. Wybór szkoły był – jak sądzę – uzasadniony tym, że choć mieszkaliśmy na Piotrkowskiej przy katedrze, to mama wróciła do swojego przedwojennego sklepu – kwiaciarni, który mieścił się przy Piotrkowskiej 116. Mogłem więc wychodzić z domu razem z mamą i po szkole pojawiać się w pachnącej, eleganckiej kwiaciarni o nazwie „Złocień".

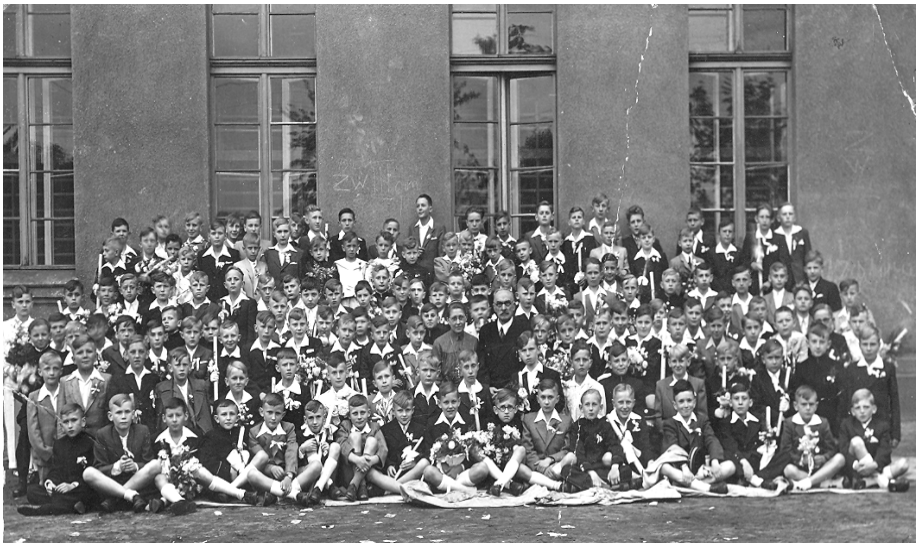

Pierwsza po wojnie Pierwsza Komunia w Szkole Aleksego Zimowskiego – maj 1946 roku;
w środku siedzi Aleksy Zimowski, obok siostra katechetka
(autor siedzi w drugim rzędzie, ósmy od lewej)

Wrażeń z tej szkoły właściwie nie mam, być może dlatego, że chodziłem do niej około dwóch miesięcy, ciągle na coś chorując. Lekarze stwierdzili, że mój organizm jest osłabiony i polecili przerwać szkołę oraz najlepiej wywieść mnie gdzieś na wypoczynek i dożywienie. Wybór padł na Krynicę, dokąd pojechałem z mamą i gdzie zostałem pozostawiony jako mieszkaniec Nowego Domu Zdrojowego pod opieką dyrektora domu oraz kelnera Antosia. Wyjazd był o tyle ważny, że panowały tam jeszcze zwyczaje przedwojenne – jakby nic się nie zmieniło. Zarówno służba hotelowa, jak i łaziebne – brałem bowiem różne kąpiele wzmacniające – zwracały się do mnie pierwszy i ostatni raz w życiu *per* „paniczu". Bardzo mnie to onieśmielało, ale i podobało się, jako pewna dowartościowująca rekompensata za poniżający okres okupacyjny.

Z okresu przedwakacyjnego pamiętam piękną pierwszą i ostatnią defiladę wojskową z 3 maja 1945 roku. Obserwowałem ją sprzed sklepu mamy. Brały w niej udział oddziały konnicy, a końskie podkowy dźwięczały szczególnie radośnie i dumnie na bazaltowej kostce ówczesnej ulicy Piotrkowskiej.

Po wakacjach zostałem zapisany znów do klasy IV w męskiej szkole prywatnej Aleksego Zimowskiego przy ulicy Bocznej 5. Uczniem byłem ra-

czej słabym, z trudem przechodzącym z klasy do klasy. Moją pasją była gra w piłkę nożną. Zwyczajowo, po lekcjach uczniowie szkoły, i to właściwie wszystkich klas, szli na tak zwane pole, które znajdowało się za szkołą. Rozgrywki były wewnątrzklasowe, ale i międzyklasowe na boiskach z uformowanymi bramkami z teczek i tornistrów uczniowskich. Ja w mojej klasie nie miałem wielu chętnych do gry i dlatego grałem zwykle z klasą o rok starszą, klasą „Chodaka" Biegańskiego. „Chodak" był sportowym przywódcą tej klasy, w dziedzinie sportu on tam decydował o wszystkim.

Gra w piłkę nożną konkurowała z nauką gry na pianinie. Rodzice zapisali mnie do Ludowego Instytutu Muzycznego (LIM), który znajdował się tam, gdzie dzisiejsza Akademia Muzyczna. Nie podobała mi się ta muzyka zupełnie, zwłaszcza że z muzyką była związana nauka angielskiego i francuskiego. Naprzeciw LIM przy ulicy Gdańskiej mieszkała znajoma mamy, pani Pediani – angielka, która wyszła za mąż za inżyniera angielskiego pochodzenia włoskiego, pana Pedianiego. Inżynier Pediani został zatrudniony w ZSRR w latach trzydziestych w ramach dużej akcji sprowadzania fachowców z Zachodu. W obliczu zbliżającej się wojny państwo Pediani postanowili jednak wrócić do Anglii, ale wojna zastała ich jednak w Łodzi, gdzie przeżyli okupację i mieszkali przy Gdańskiej. Pani Pediani udzielała lekcji francuskiego i angielskiego. Ponieważ musiałem jeździć na muzykę do LIM, rodzice uznali, że przy okazji, prawie w tym samym miejscu, będę pobierał lekcje obu języków. To wszystko w oczywisty sposób kolidowało z graniem w piłkę nożną. Bywało, że pytany przez rodziców o to, czy grałem odpowiadałem zgodnie z prawdą: „Tak, grałem trzy godziny". Pytanie dotyczyło jednak grania na pianinie, a odpowiedź grania na polu w piłkę. Wkrótce wywalczyłem jednak rezygnację z lekcji na Gdańskiej pod pretekstem braku czasu na naukę w szkole.

Szkole Zimowskiego zawdzięczam wiele – są to przyjaźnie, które trwają do dziś, wspomnienia wspaniałych imprez, wyjazdów letnich i zimowych, wspomnienia dyrektora Aleksego Zimowskiego otoczonego miłością uczniów i uznaniem nauczycieli, ale surowo przestrzegającego zasad, których wdrożenie dorastającym mężczyznom uważał za konieczne. Najważniejsza jednak jest pamięć wręcz idealnego zespołu nauczycieli. W większości byli to nauczyciele wykształceni przed wojną, dla których zasady etyczne, dobro uczniów, sprawiedliwość, także rycerskość i honor, nie były tylko hasłami. Byli to nauczyciele przedmiotów, ale i nauczyciele życia. Wyróżniały nas mundurki i czapki z charakterystycznymi niebieskimi paskami, mieliśmy popularne przezwisko – „zimorodki". Zarówno z tych

mundurków, jak i przezwiska byliśmy dumni. Klasy rozróżniało się przede wszystkim używając nazwisk wychowawców. Moją wychowawczynią była pani Balcerzak. Do dziś, gdy się spotkam z kimś „od Zimowskiego", pada rozpoznanie: „Tak, pamiętam, ty jesteś od pani Balcerzakowej!".

Klasa Va Szkoły nr 82 „Zimowskiego" – klasa pani Balcerzakowej – rok 1947;
autor stoi w drugim rzędzie od góry, szósty od prawej

Tymczasem jakiś rok po wywalczeniu sobie zaprzestania znienawidzonego uczenia się gry na pianinie miało miejsce wydarzenie o dużym dla dalszego mojego życia znaczeniu. Umówiony byłem na wspólne wyjście z zaprzyjaźnionym kolegą z podwórka Darkiem Brykalskim, późniejszym profesorem Akademii Medycznej, dziekanem Wydziału Lekarskiego i prorektorem AM. Darek prosił, abym chwilę zaczekał, bowiem przeciąga się spóźniona lekcja gry na pianinie, którą odbywał z przychodzącym do niego do domu na lekcje profesorem. Usiadłem i, chcąc nie chcąc, słuchałem. Darek grał wówczas utwory z cyklu „Łatwe utwory J.S. Bacha". Jeden z tych utworów zagrał profesor, aby pokazać właściwe wykonanie. Byłem oczarowany pięknem prostoty utworu. Chciałem koniecznie też umieć to zagrać. Natychmiast zapytałem profesora, czy mógłby mnie uczyć, przychodząc na lekcje do tego samego domu tylko do innego mieszkania. Profesor powiedział, że oczywiście, ale musi porozmawiać z rodzicami, bo trzeba ustalić warunki. Zapytałem, kiedy przychodzi na kolejną lekcję do Darka, i umó-

wiliśmy spotkanie z jeszcze nic niewiedzącymi na ten temat moimi rodzicami. Rozmowa z rodzicami była krótka, choć nie mogli zrozumieć, jak to się stało, że tak radykalnie zmieniłem zdanie na temat nauki gry na pianinie. Myśleli, że to chwilowa „zachcianka". Profesor Dancer przychodził regularnie na lekcje, aż do czasu, kiedy po zdaniu egzaminu do Szkoły Muzycznej przy ulicy Jaracza zostałem uczniem słynnej pani prof. Pauliny Szporn, w której klasie uczyła się zresztą córka prof. Dancera, Danusia. Muzyka stała się jedną z najważniejszych miłości mojego życia, a właściwie można przyjąć, że do czasu ukończenia politechniki uważałem, że ostatecznie zostanę muzykiem.

W ostatniej, siódmej klasie szkoły podstawowej zorientowałem się, że moje przechodzenie „z trudem" z klasy do klasy owocuje zupełnie beznadziejnym poziomem wiedzy z kilku najważniejszych przedmiotów. Tymczasem byliśmy straszeni trudnymi egzaminami do szkół średnich i zacząłem obawiać się, że mogę się nigdzie nie dostać i będzie wstyd. Zwróciłem się więc do rodziców z prośbą o korepetytora. Była to studentka uniwersytetu, chyba fizyki, a przedmioty, którymi się zajmowaliśmy, to matematyka, fizyka i chemia. Korepetycje były wspaniałe. Pani korepetytorka nie odrabiała ze mną lekcji i nie rozwiązywała zadań, a uczyła mnie myśleć. Zacząłem odczuwać ogromną radość ze zrozumienia kolejnego problemu. Pamiętam wręcz szczęście, gdy pojąłem procenty. Procenty, które ciążyły nade mną, pewnie więcej niż pół roku, jak ciężka, burzowa chmura, z której co chwila wyskakiwały gromy pokazujące moją słabość i niewiedzę. Te wrogie procenty leżały teraz pokonane u moich stóp. Rzuciłem się na jakiś zbiór zadań i rozwiązywałem kolejne zadanie nie mogąc uwierzyć, że naprawdę uzyskiwane przeze mnie wyniki są dobre. To było coś w rodzaju archimedesowego: „Eureka". Tyle, że zamiast „odkryłem", było „zrozumiałem", „potrafię zrozumieć", „jestem w stanie to wszystko opanować".

Nie doszło wprawdzie do tego, abym rzucił zupełnie piłkę nożną, ale to, że po przyjściu do domu usiądę nad książką, zwłaszcza nad zagadnieniami, o których będę dyskutował z korepetytorką, było już dla mnie przyjemną perspektywą. „Będę się uczył i znowu coś nowego zrozumiem, to fantastyczne". Kto wie, czy to nie był przełomowy moment, a w każdym razie co najmniej jeden z przełomowych momentów w moim życiu. Efekty zaś były imponujące. Obok poprawienia prawie lawinowo ocen z matematyki, fizyki i chemii, zacząłem szukać, jak narkoman, podobnych przyjemności w zgłębianiu innych przedmiotów. Podczas zakończenia roku, które odbyło się w Sali Operetki „Lutnia" przy Piotrkowskiej, po wręczeniu naj-

lepszym uczniom nagród, zostałem – zupełnie dla mnie nieoczekiwanie – wezwany przez ówczesnego dyrektora Kaźmierczaka na scenę. Dyrektor wygłosił piękne przemówienie na moją cześć, jako ucznia, który w ostatniej klasie zrobił niewiarygodne postępy, co miało być motywacją dla innych słabych, że „można jak się chce". Rzeczywiście, z bardzo słabego ucznia udało się „wyciągnąć" w ciągu pół roku na jego świadectwie sporo piątek (do szóstek brakowało wtedy ponad 60 lat), kilka czwórek i jedną trójkę – z rosyjskiego.

Szkoła przy ulicy Bocznej, w której zaczynałem naukę, była to Prywatna Męska Szkoła Powszechna Aleksego Zimowskiego. W międzyczasie Aleksy Zimowski zmarł, a ja kończyłem w tym samym budynku już Państwową Szkołę Podstawową nr 82.

Szkoła średnia – PSTP

W pierwszych latach po wojnie panowało przekonanie, że aby przeżyć zawieruchy wojenne trzeba mieć „konkretny" zawód, bo przecież za chwilę miała rozpocząć się trzecia wojna, z generałem Andersem na białym koniu w tle. Rodzice zdecydowali, że po szkole powszechnej będę zdobywał ten upragniony przez nich konkretny zawód w Liceum Zawodowym zwanym Państwowa Szkoła Techniczno-Przemysłowa w Parku Poniatowskiego (PSTP).

Mnie sprawa wyboru szkoły średniej zbytnio nie interesowała, bowiem byłem wtedy pewien, że zostanę muzykiem, którego gra lub kompozycje powalą na kolana cały świat, a zwłaszcza wszystkie piękne kobiety. Byłem już po kilku niezbyt udanych *affaire d'amour*, a pod wpływem słów popularnej wówczas piosenki radzieckiej: „ach graj, Andriusza, twa muzyka wzrusza, … dziewczęce serca zmiękną tak jak wosk", wierzyłem, że kobiety wyjątkowo kochają muzyków. Gdzieś w okolicach wakacji ojciec powiedział mi, to znaczy podał do wiadomości, że złożył podanie do PSTP, na Wydział Przędzalniczy. Nie interesowałem się wprawdzie tym, do jakiej szkoły trafię, ale nie do tego stopnia, żeby godzić się na naukę przędzalnictwa! Zaprotestowałem. Przedstawiono mi wykaz wydziałów do wyboru, wybrałem elektryczny, który wydawał mi się trochę tajemniczy, a więc może bardziej interesujący. Jeszcze do niedawna wśród starych szpargałów błąkało się podanie mego taty zwracającego się z prośbą o przyjęcie jego syna Andrzeja na wydział przędzalniczy ze względu na zainteresowanie

przędzalnictwem, jakie zdradza od dziecka. Na podaniu tym skreślone zostało przez mojego Ojca słowo „przędzalniczy" i „przędzalnictwem" i zastąpione słowami „elektryczny" i „elektrycznością". W ten sposób zostałem elektrykiem.

Kiedy wstąpiłem do PSTP lekcje zaczynały się i kończyły modlitwą, a wśród przedmiotów obowiązkowych była religia, a kiedy kończyłem tę szkołę nakazano obcinać uczniom zbyt długie włosy, czego dokonywali najważniejsi działacze ZMP pod nadzorem dyrekcji, jak i wymuszaną rozpaczą z powodu śmierci Józefa Wisarianowicza Stalina. To tylko cztery lata, a świat dookoła zmienił się całkowicie.

Nauczyciele byli różni. Już pojawiali się wśród nich młodzi działacze pezetpeerowscy, węszący agentów imperializmu i wrogów ustroju, głównie w celu wykazania własnej wierności nowym władzom. Przypominam sobie nauczyciela, z którym mieliśmy chyba „naukę o Polsce" czy „przysposobienie wojskowe", który na lekcji wręcz domagał się, abyśmy donieśli dyrektorowi, że nauczyciel polskiego namawiał nas do wystąpień antypaństwowych. Zresztą wkrótce nauczyciel od polskiego zniknął. Byli jednak także doskonali nauczyciele. Tu na pierwszym miejscu muszę wymienić naszego wychowawcę inż. Jerzego Maleckiego. Mieliśmy z nim przedmiot, który nazywał się „sieci i rozdzielnie". Inżynier Malecki pracował jednocześnie w Politechnice Łódzkiej w Katedrze Elektroenergetyki oraz pełnił jakąś ważną funkcję w stacji rozdzielczej w Janowie. Niejednokrotnie zajęcia z nim były przerywane, bowiem przy nawet drobnej awarii w Janowie natychmiast pojawiali się panowie z UB i zabierali inż. Maleckiego w celu złożenia długich wyjaśnień, które musiały wykluczyć sabotaż wrogów ustroju. Byli też inni nauczyciele, których później spotkałem na politechnice.

Postacią szczególnie barwną był mieszkający na terenie szkoły prof. Jan Buchholz. Profesor miał z nami mechanikę przez cały rok, a lekcje z nim pełne były anegdotycznych wydarzeń. Ja miałem szczególnie bliski kontakt z profesorem, bowiem byłem reprezentantem szkoły w szachowych mistrzostwach Polski szkół średnich. Szkoła nasza zajęła w rozgrywkach finałowych wysokie, drugie lub trzecie miejsce. Profesor, dobry szachista, oświadczył, że chciałby zobaczyć, jak grają reprezentanci szkoły i zaprosił mnie i kolegę Janusza Woźniakowskiego, też reprezentanta szkoły, do siebie do domu na szachy. Nie pamiętam już, któremu z nas udało się zremisować, co nie bardzo podobało się profesorowi i zapowiedział rewanż. Wskutek tego odwiedziliśmy kilkakrotnie profesora w jego mieszkaniu, co

wzbudzało zazdrość kolegów, zwłaszcza że profesor podczas lekcji z uznaniem wyrażał się o naszych umiejętnościach szachowych. Po kilku latach, przy spotkaniu z profesorem na politechnice okazało się, że nie tylko pamiętał, że ze mną grał, ale także, jaką zagrałem obronę w partii, którą profesor przegrał.

W szkole średniej już na samym początku wynalazłem wspaniały sposób uczenia się, który do tej pory polecam studentom. Jak już pisałem trafiłem do klasy elektrycznej przypadkiem bez żadnych zainteresowań w tym kierunku, a tym bardziej bez żadnych doświadczeń. Tymczasem podczas przerw lekcyjnych koledzy rozmawiali o budowanych przez siebie radioodbiornikach, generatorach, amperomierzach i Bóg wie, o czym jeszcze. Byłem wystraszony słysząc to, tym bardziej, że jednocześnie chodziłem do szkoły muzycznej, co wymagało ode mnie co najmniej kilku godzin ćwiczeń i obecności na lekcjach teoretycznych w szkole. Co tu zrobić, a raczej jak tu zrobić, żeby jakoś wszystko opanować i żeby po pierwszym okresie nie wyrzucili mnie ze szkoły, bo znowu grozi wstyd. Wymyśliłem system następujący. Tego samego dnia, kiedy była lekcja robiłem w domu krótkie notatki w oddzielnym, cienkim zeszycie. Następnie już nie zaglądałem do obszernych opracowań w książkach czy notatek z lekcji i opanowywałem krótki, na przykład czterozdaniowy materiał. Do każdego przedmiotu miałem oddzielny cienki zeszyt. Dawało to kolosalną oszczędność czasu. Uczyłem się tylko tego, co naprawdę niezbędne, licząc, że w razie czego potrafię temat rozwinąć, a pamiętając o zasadzie z korepetycji, aby nie tolerować niczego czego nie rozumiem, wydawało mi się, że dam radę.

Oczekiwałem z niecierpliwością wyników pierwszego okresu. Ku mojemu zdziwieniu, zamiast zagrożenia usunięciem, zostałem najlepszym uczniem. I tak właściwie było do końca szkoły. Znaczy bywały okresy, kiedy spadałem na drugą pozycję, ale szybko wracałem na pierwszą. Metoda moja była tak doskonała z punktu widzenia oszczędności czasu, że oprócz nauki w szkole muzycznej mogłem sobie pozwolić na trenowanie w klubie „Ogniwo" pływania, gdzie osiągnąłem pewne sukcesy. Zostałem bowiem zaliczony do kadry Łodzi. Miałem wówczas dwa treningi dziennie: o szóstej rano – kadra, i po obiedzie trening klubowy.

Maturę zdałem bardzo dobrze i dostałem dyplom przodownika nauki i pracy społecznej, który upoważniał mnie do wstępu na politechnikę bez egzaminu. Jako pracę społeczną zaliczono mi, nie bez problemów, trzyletnie przewodniczenie w Szkolnym Klubie Sportowym. Po ukończeniu drugiej klasy otrzymaliśmy dyplomy czeladników ze specjalnością „instala-

cje przemysłowe", a po zakończeniu szkoły dyplomy technika elektryka ze specjalnością „maszyny elektryczne". Oczywiście w tej sytuacji Wydział Elektryczny na Politechnice Łódzkiej stał się naturalną kontynuacją i konsekwencją ukończenia PSTP.

Studia na Politechnice Łódzkiej

Studia na politechnice dało się łączyć z kontynuowaniem studiów muzycznych, choć niezupełnie w zgodzie z ówczesnym regulaminem. Rozpocząłem studia w roku 1953, a wówczas obecność na wszystkich zajęciach była obowiązkowa. Wyglądało to tak, że tak zwany starosta grupy dostawał w dziekanacie dzienniczek z nazwiskami studentów i podczas wykładów, rozglądając się po sali, zaznaczał obecność. Starałem się być obecny na ważniejszych przedmiotach, zwłaszcza przed południem, bo zajęcia w Szkole Muzycznej miałem raczej po południu. Tym niemniej obecność na wszystkich zajęciach była niemożliwa, zwłaszcza gdy zbliżały się egzaminy z fortepianu lub „popis". Musiałem poświęcać kilka godzin dziennie na ćwiczenia. Efektem były nagany za frekwencję od kolejnych dziekanów i nagany ustne lub wpisywane do indeksu. Ratowały mnie dobre oceny i opinia bardzo dobrego studenta.

Zacząłem bardzo efektownie, pierwszym kolokwium z podstaw elektrotechniki. Był to dwugodzinny sprawdzian, który odbywał się w dużej sali (chyba nr 4 na parterze w Gmachu Głównym), a pisał cały rok. Sprawdzian ten prowadził doc. Stefan Wojciechowski w obecności wszystkich asystentów prof. Bolesława Konorskiego, pilnie obserwujących studentów. Tematem były obwody prądu stałego. Po otrzymaniu tematów zauważyłem, że w najtrudniejszym zadaniu wymagającym najwięcej przekształceń i trudu, znajdują się dwie pary punktów ekwipotencjalnych, wykorzystanie których uprościło schemat sprowadzając obliczenia do dwóch banalnych działań. Pozostało drugie, prostsze zadanie i odpowiedź na pytanie teoretyczne. Po dwudziestu minutach oddałem pracę i zmierzałem do wyjścia. Docent Wojciechowski starał się mnie zatrzymać myśląc, że rezygnuję z kolokwium. Powiedziałem, że wychodzę, bo zrobiłem wszystko. „Taaak?" Przejrzał szybko moją pracę i powiedział: „Dziękuję bardzo, ma pan piątkę". Następny po mnie kolega opuścił salę ponad godzinę po mnie.

To teatralne wydarzenie, na oczach areopagu asystentów i całego roku studentów obserwujących w ciszy moją z doc. Wojciechowskim rozmowę,

nie mogło nie zrobić wrażenia, a samo wydarzenie długo było mi „wypominane". Trzeba tu dla sprawiedliwości dodać, że w PSTP mieliśmy świetnego nauczyciela od podstaw elektrotechniki, mgra K. Dulskiego, który był jednocześnie asystentem u prof. Bolesława Konorskiego w politechnice i który w szkole nieźle nas z teorii obwodów przećwiczył.

Dla równowagi, niezwykle emocjonującą, ale i pouczającą, niestety w ujemnym sensie, przygodę mieliśmy w końcówce semestru. Grupa ósma, ostatnia grupa na roku, umówiona była z asystentem prowadzącym zajęcia z rysunku technicznego na to, że o tak zwanych subkolokwiach będziemy powiadamiani tydzień wcześniej. Chyba na przedostatnich zajęciach asystent zarządził, bez zapowiedzi, sprawdzian. Grupa odmówiła pisania. Asystent prosił o wstanie osób, które odmawiają pisania. Wstała cała grupa. Asystent rozpoczął spisywanie kolejno nazwisk. Kiedy doszedł do ósmej osoby, reszta grupy siedziała, wyrażając tym gotowość do pisania. Cóż, opuściliśmy (bo i ja byłem w tej ósemce) audytorium, spodziewając się co najwyżej ocen niedostatecznych. Tymczasem na następny dzień zostaliśmy wezwani do opiekuna roku, który wprost krzycząc powiadomił nas, że strajki na politechnice nie będą tolerowane i że dziekan zdecydował się na postawienie nas przed Komisją Dyscyplinarną.

Sprawa była jednak przeprowadzona paskudnie. Wśród naszej ósemki była koleżanka Halina Oskierko-Żeromska, która wówczas była – powiedzmy – sympatią przewodniczącego Uczelnianego Zarządu ZMP. Halina została przez opiekuna roku wyproszona z komentarzem: „Pani nie pasuje do tych odpadków studenckich". Halina chciała zostać w grupie „rozrabiaczy", ale wobec nacisku naszego opiekuna roku wyszła i więcej z nami nie była łączona. Tymczasem odbyła się wielodniowa Komisja Dyscyplinarna, której przewodniczył dziekan, a jednym z uczestników był zaproszony przez władze uczelni pracownik UB. Przesłuchiwano nas kolejno, przy czym pytania głównie dotyczyły dolarów, które ponoć dostaliśmy na zorganizowanie strajku. Pamiętam pytania i zachowanie dziekana dążącego za wszelką cenę do wykazania, jak strasznymi kontrrewolucjonistami jesteśmy, a on jak wielką czujność wykazuje. Dziekan nie był działaczem, a nawet członkiem PZPR. Był to przedwojenny inżynier, przedwojenny dyrektor dużego przedsiębiorstwa, który i przed tym wydarzeniem i po nim miał opinię przyzwoitego człowieka. Komisja zakończyła się tym, że przedstawiciel UB w pewnym momencie, zwracając się do dziekana, powiedział: „Panie profesorze, my naprawdę mamy poważne zadania, a na takie wymyślane sprawy czasu nie mamy". Wstał i bez pożegnania wyszedł. Do-

wiedzieliśmy się o tym od opiekuna naszej grupy, mgra inż. Wojciecha Liwińskiego, który z racji tej funkcji był członkiem Komisji Dyscyplinarnej, a który później z nami się zaprzyjaźnił.

Komisja Dyscyplinarna zakończyła się naganami z „wpisaniem do akt", których nigdy ani do indeksów, ani do żadnych akt nie wpisano. Chyba ze wstydu. Po wielu latach, kiedy już byłem dość znanym pracownikiem wydziału, profesor ten, który w przeszłości był oskarżającym nas o organizowanie strajku dziekanem, przepraszając mnie za tę komisję mówił: „Sam pan rozumie, kazali mi, nie mogłem inaczej". Na wszelki wypadek, a może żeby coś w tej sprawie zrobić, rozwiązano naszą grupę po pierwszym semestrze, choć mieliśmy najlepsze wyniki w nauce i po kilku przydzielono do pozostałych siedmiu grup. Docent Stefan Wojciechowski, znany członek PZPR, z którym później podczas pracy w Instytucie Podstaw Elektrotechniki zaprzyjaźniłem się, pamiętał tę historię i po latach powiedział mi: „Mieliście szczęście, gdyby to było rok wcześniej zostalibyście wyrzuceni ze studiów i w celu reedukacji wcieleni do kopalnianych kompanii wojskowych". Był początek 1954 roku, rok po śmierci Stalina, i gdzieś w oddali majaczył już rok 1956. Historia z Komisją Dyscyplinarną nie odbiła się negatywnie na naszych dalszych studiach, wprost przeciwnie w oczach wielu asystentów widzieliśmy sympatię.

Moim ulubionym wykładowcą był pan prof. Bolesław Konorski. Wykłady profesora z podstaw elektrotechniki były wielką szkołą pracy naukowej i myślenia w ogóle. Przedstawiał temat wykładu jako problem do rozwiązania, a następnie razem ze studentami chcącymi z nim współpracować, zabierał się do jego rozwiązywania. Swoim charakterystycznym akcentem zadawał pytanie: „No i co ja o tym wim?" – i odpowiadał: „Niewiele wim. Wim mianowicie, że…". I tu wymieniał znane na początku rozważań założenia i pytał: „Jak my to możemy obliczyć? Może tak." – i tu pokazywał kierunek rozumowania: „A może tak." – i charakteryzował kilka innych dróg. Następnie z pomocą studentów wybierał sposób, jaki wydawał się najwłaściwszy i zaczynaliśmy wspólnie dążyć do uzyskania wyniku. Czasem okazywało się, że wybrana droga nie jest właściwa, zaczynaliśmy więc od początku w inny sposób. Dla mnie wykłady te były objawieniem. Siadałem w pierwszej ławce i wbrew temu, co obecnie przekazuję studentom, nic nie notowałem nie chcąc uronić ani słowa, ani jednego gestu z narracji profesora. Obok mnie siedział kolega Bogdan Mac, który prowadził bardzo dobrze i inteligentnie notatki, z których później przygotowywa-

liśmy się razem do egzaminu, zresztą uczyliśmy się razem do innych egzaminów.

Wykłady prof. B. Konorskiego nie wszystkim studentom odpowiadały. Co najmniej 2/3 roku nie było z tych wykładów zadowolonych. Doszło do pisania skarg dotyczących tego, że wykładowca, który mówi „niewiele wim", nie powinien wykładać oraz że po skończonym wyprowadzeniu rozwiązania profesor oświadczał, że to co zrobił do niczego nie prowadzi, wprowadza zamęt i powoduje chaos w notatkach.

Z wykładów profesora wyciągnąłem trzy ważne dla mnie wnioski: pierwszy, że najlepsze zrozumienie trudnych spraw można osiągnąć próbując samodzielnie rozwiązać zagadnienie, a nie poznając już gotowe rozwiązanie. Drugi wniosek, że rozumowanie teoretyczne jest silnym narzędziem także w dziedzinach o charakterze praktycznym, jakim jest elektrotechnika. I zawsze potem przed rozpoczęciem pomiarów w laboratorium starałem się najpierw rozpracować teoretycznie problem. Trzeci wniosek, o charakterze dydaktycznym, że nie ma jednego doskonałego wykładowcy dla wszystkich słuchaczy.

Specjalną rolę odgrywał prof. Jan Słowikowski, wykładający podstawy analizy matematycznej. Profesor Słowikowski obok prowadzonych ciekawie wykładów, był dla nas prawdziwym, pełnym zrozumienia wychowawcą, przekazującym wiele prawd, które do tej pory pamiętamy i z którymi się utożsamiamy.

Rok, na którym studiowałem był ostatnim rocznikiem studiów dwustopniowych. Na studia magisterskie obowiązywał konkurs, zwłaszcza na specjalnościach bardziej popularnych. Wraz z wieloma kolegami z rozwiązanej pierwszorocznej grupy ósmej spotkałem się na sekcji „grzejnictwo", zwanej obecnie elektrotermią. Pracę dyplomową wykonałem pod kierunkiem doc. Ludwika Michalskiego, która dotyczyła pojawiających się u nas elementów półprzewodnikowych, a mianowicie wykorzystania fotodiody germanowej do pomiarów temperatury. Pracę dyplomową, ze względu na dość długą nieobecność doc. Ludwika Michalskiego, wykonałem w dużym stopniu samodzielnie. Z emocjami oczekiwałem oceny pracy, którą gotową przedstawiłem opiekunowi po jego powrocie ze stażu zagranicznego. Ocena bardzo dobra w istotny sposób wzmocniła moją wiarę w wartość samodzielnie wykonywanych przeze mnie prac.

Cały czas podczas studiów na politechnice byłem uczniem Szkoły Muzycznej przy ulicy Jaracza w Łodzi, a po jej ukończeniu słuchaczem Konserwatorium przy ulicy 1 Maja. Początkowo w klasie fortepianu prof. Pauliny

Szporn, później na Wydziale Instruktorskim i Teoretycznym. Przyczyną zmiany specjalności było to, że w wyniku zbyt intensywnych ćwiczeń fortepianowych kontuzjowałem sobie lewą rękę, co uniemożliwiło mi doskonalenie gry fortepianowej w stopniu wymaganym od pianistów. Dodatkowo zainteresowałem się harmonią i kompozycją i zacząłem myśleć o tym, by poświęcić się kompozycji i dyrygenturze.

Ostatnim moim „sukcesem" pianistycznym było zajęcie drugiego miejsca w konkursie na wykonanie miniatury współczesnej. Grałem utwory Kabalewskiego i Paciorkiewicza. Wystąpiłem także jako solista, grając z orkiestrą szkolną utwór Ignacego Paderewskiego *Menuet*, specjalnie na tę okazję zinstrumentowany na orkiestrę i fortepian koncertowy, przez ówczesnego dyrektora Filharmonii Łódzkiej Andrzeja Cwojdzińskiego. Dyrygentem był prof. Andrzej Hundziak. Studia na politechnice udawało mi się godzić z muzyką, a nawet miałem możliwości zademonstrowania na PŁ swoich umiejętności, występując w częściach „artystycznych" podczas dwu inauguracji roku akademickiego. W Auli im. Sołtana, która wówczas była audytorium nr 10, stał wówczas zupełnie przyzwoity – po nastrojeniu – fortepian. Grałem utwory Chopina i Paderewskiego.

Praca w Politechnice Łódzkiej

Propozycję pracy w Politechnice Łódzkiej otrzymałem od przewodniczącego komisji egzaminacyjnej, prof. Walentego Starczakowa, najbardziej nieoczekiwanie, bo właściwie w trakcie egzaminu dyplomowego. Propozycja była pełnym zaskoczeniem, bowiem nie zamierzałem wówczas w ogóle szukać pracy, chciałem kontynuować studia muzyczne w konserwatorium. Propozycja była z jednej strony zaskoczeniem, ale z drugiej strony bardzo mile podrażniła moją ambicję, bowiem był to okres nakazów pracy i wielu kolegów chciało pozostać w Łodzi, a tylko najlepsi usilnie starali się o pozostanie w politechnice. Po rozmowie z prof. Walentym Starczakowem przyjęliśmy, że oprócz studiów muzycznych rozpocznę pracę w jego katedrze, a jeżeli będę miał trudności z połączeniem pracy ze studiami muzycznymi zrezygnuję z pracy w PŁ. Do tego tematu zresztą nigdy później nie wracaliśmy, bo nie było potrzeby. Tak więc pracę w uczelni technicznej rozpocząłem jako skutek udziału w moim egzaminie dyplomowym prof. Walentego Starczakowa.

Ale stąd do przekładników i kompatybilności elektromagnetycznej była jeszcze daleka droga, ciągle bowiem uważałem, że moim zawodem będzie zawód muzyka. Tymczasem opiekun mojej pracy dyplomowej doc. Ludwik Michalski zgłosił mnie jako autora referatu na konferencję organizowaną w Warszawie, zatytułowaną II Krajowy Kongres Elektroniki, gdzie prezentowałem w sekcji półprzewodnikowej wyniki mojej pracy dyplomowej. Spośród referatów, które przy tej okazji wysłuchałem, największe wrażenie wywarł na mnie referat pracownika Polskiej Akademii Nauk dra Włodzimierza Giriata na temat właściwości i perspektyw wykorzystania generatorów Halla, które obecnie nazywane są hallotronami.

Doktor Włodzimierz Giriat był obecny na moim wystąpieniu i w czasie przerwy, po krótkiej rozmowie, zaproponował mi współpracę. Zakład Fizyki PAN wykonywał wówczas na potrzeby różnego rodzaju badań i placówek naukowych generatory Halla, oczywiście metodą laboratoryjno-chałupniczą. Pracownia, której kierownikiem był dr Giriat miała problem ze znalezieniem jakiegoś sensownego określenia dopuszczalnego prądu sterującego tych generatorów i właśnie ja jako inżynier (brzmiało to wówczas niezwykle dumnie) miałbym taką metodę opracować. Po uzyskaniu zgody prof. Starczakowa zabrałem się ochoczo do pracy, wykonałem prymitywne stanowisko pomiarowe i, dosłownie po kilku tygodniach, przedstawiłem drowi Giriatowi moją propozycję. Zauważyłem podczas badań, że stała Halla, proporcjonalna do prądu sterowania, przy pewnej wartości tego prądu rośnie coraz wolniej, aż przestaje wzrastać. Zaproponowałem więc metodę polegającą na wyznaczeniu krzywej stałej Halla w funkcji prądu sterowania i na jej podstawie wyznaczanie dopuszczalnego prądu jako prądu, przy którym krzywa ta przestaje być liniowa. Doktor Giriat był zachwycony, pamiętam jego słowa: „Mówiłem, że inżynier potrafi to wyznaczyć".

Referat na ten temat wygłoszony w Katedrze PŁ nie spotkał się z większym uznaniem, raczej przeważała opinia, że to oczywiste, iż tak właśnie trzeba wyznaczać ten prąd sterujący. I rzeczywiście dla inżynierów było to prawie oczywiste, ale nie dla fizyków, zapatrzonych w orbity elektronów i energetyczne poziomy domieszkowe. Doktor Giriat zaproponował mi stałą współpracę na pół etatu w PAN w Warszawie i choć z tego w końcu nic nie wyszło, to jednak myślę, że ten – jak wtedy czułem – pierwszy, nieoczekiwany zupełnie samodzielny sukces w zawodzie inżyniera-badacza, był decydującym momentem, który przeważył i ostatecznie moją drogę życiową skierował w stronę elektrotechniki. Do ostatniej przeprowadzki,

kiedy opuszczałem pokój kierownika katedry w roku 2007, w szufladzie zawsze natrafiałem na kilka generatorów Halla, na których prowadziłem badania dla dra Giriata.

Kontakty z konserwatorium słabły, powoli wciągałem się coraz bardziej w zagadnienia elektrotechniczne, choć jeszcze do czasu obrony doktoratu w PŁ udzielałem kilku muzykom, zwłaszcza śpiewakom, korepetycji z harmonii. Na obronie mojej pracy doktorskiej w roku 1966 obecnych było kilka osobistości z łódzkiego „świata muzyki", z panią prof. Pauliną Szporn na czele. Teraz patrząc na czas poświęcony muzyce myślę, że to był chyba najlepiej i najpiękniej wykorzystany przeze mnie okres życia, choć nie przyniósł żadnych wymiernych korzyści. Ozdobą i ukoronowaniem tego zbliżenia z muzyką była znajomość i bliski kontakt z moją nauczycielką fortepianu, panią prof. Pauliną Szporn. Poza tym, że składała się ona wyłącznie z muzyki, była wspaniałym człowiekiem, jedną z najwybitniejszych osobowości, jakie miałem okazje i szczęście poznać.

Podjąłem więc decyzję o porzuceniu marzeń o zawodowym zajmowaniu się muzyką na rzecz elektrotechniki. Właściwie to decyzja „sama się podjęła", na co złożył się także rozwój spraw uczuciowych, o których nie chcę tu pisać. Czy żałuję tej decyzji? Jak mawiał mój przyjaciel, wspomniany już doc. Wojciech Liwiński: „Jaką byś nie podjął decyzję i tak kiedyś będziesz jej żałował". Są chwile, kiedy wydaje mi się, że gdybym został muzykiem pełniej mógłbym się zachwycać światem i życiem i to byłoby lepsze. Kiedy indziej jestem szczęśliwy, że zająłem się sprawami bardziej obiektywnymi i konkretnymi, zamkniętymi w matematyczną logikę i rozwijającymi sprawność rozumowania, a wówczas ta droga wydaje się lepsza. Jedno mogę powiedzieć z całą pewnością – elektrotechnika odpłaciła mi szczerym uczuciem i na jej życzliwość nie mogę narzekać. Od początku do końca mojej pracy elektrotechnika zrośnięta z Politechniką Łódzką, darzyła mnie swoimi względami w stopniu, na który – nie jestem pewien – czy w pełni zasłużyłem.

Po pierwszych zadaniach, które otrzymałem do rozwiązania, raczej o charakterze pomocniczym, istotną i już w pełni samodzielną pracą było określenie właściwości przekładników produkowanych w Zakładach ZWAR w Warszawie przy pracy w sieciach o podwyższonej częstotliwości w zakresie od 60 Hz do 300 Hz. Na zebraniu w Katedrze poświęconym omówieniu tej pracy zaproponowałem, aby w przypadku przekładników prądowych zacząć od przeprowadzenia analizy teoretycznej zmian wielkości charakteryzujących pracę przekładnika przy podwyższonej częstotli-

wości, w stosunku do wartości przy 50 Hz, zamiast proponowanych przez innych pracowników serii pomiarów. Profesorowi bardzo podobała się moja propozycja i pewnie dlatego przekładniki prądowe przekazane zostały w całości do mojego opracowania; nad przekładnikami napięciowymi pracował inny zespół. Rzeczywiście koncepcja analizy zmian w stosunku do wartości przy 50 Hz okazała się bardzo szczęśliwa. Po pierwsze parametry przy 50 Hz były wyznaczane doświadczalnie, a więc unikało się błędów analizy wynikających z nieuniknionych uproszczeń, po drugie można było ukoronować analizę równaniami określającymi zmiany błędu prądowego i kątowego w funkcji częstotliwości. W sumie była to zgrabna, zwarta teoria, która po potwierdzeniu przez pomiary znalazła uznanie u zleceniodawców i była przez ZWAR wykorzystywana przez wiele lat podczas negocjacji handlowych dotyczących eksportu naszych przekładników do krajów o częstotliwości 60 Hz. Wielokrotnie myślałem o tym, że opracowanie to, po ewentualnym uzupełnieniu, mogłoby być dysertacją doktorską.

Kolejnym zagadnieniem, nad którym pracowałem były przepięcia w przekładnikach prądowych przy otwartym obwodzie wtórnym. Panowało tu pewne zamieszanie. Otwarty obwód wtórny w eksploatacji przekładników prądowych traktowany jest jako stan awaryjny, ale jednocześnie stosowany podczas prób jako badanie wytrzymałości izolacji międzyzwojowej i międzywarstwowej. W niektórych publikacjach, na podstawie pomiarów, wyrażane było przekonanie, że warunki próby są zbyt ostre, a w innych, na podstawie innych pomiarów, że próba nic nie daje, bo napięcia są zbyt niskie. Istniejące metody obliczeń dawały wyniki znacznie wyższe od pomierzonych. Przeprowadzona przeze mnie analiza, po raz pierwszy dotycząca wartości chwilowych wszystkich wielkości charakteryzujących prace przekładnika, wykazała, że istnieją dwie przyczyny tego zamieszania. Po pierwsze w stosowanych metodach analitycznych wyznaczania wartości szczytowych przepięć pomijano straty mocy w obwodzie magnetycznym, uzasadniając to tym, że przy nasyceniu obwodu magnetycznego straty te nie mają znaczenia. Tymczasem wartości szczytowe napięć w obwodzie wtórnym występowały w chwili przejścia prądu magnesującego przez wartości zerowe, czyli gdy indukcja miała wartości zbliżone do zera, a nie do indukcji nasycenia. Uwzględnienie strat mocy w obwodzie magnetycznym w sposób radykalny zbliżyło wyniki pomiarów do wyników obliczeń. Drugim powodem różnic w otrzymywanych przez różnych autorów wynikach pomiarów był brak kontroli kształtu prądu pierwotnego przy próbie otwartego obwodu. Okazało się, że przy tej samej wartości skutecznej prądu pier-

wotnego można było otrzymać w obwodzie wtórnym napięcie rzędu 100 woltów, a w innym laboratorium przy mniejszym odkształceniu prądu pierwotnego nawet powyżej 1000 woltów. Ostateczny wniosek, że wszelkie pomiary przepięć przy otwartym obwodzie wtórnym bez kontroli kształtu prądu pierwotnego nie mają sensu, pomógł ostatecznie ustalić warunki próby izolacji międzyzwojowej i międzywarstwowej uzwojenia wtórnego w przekładnikach prądowych.

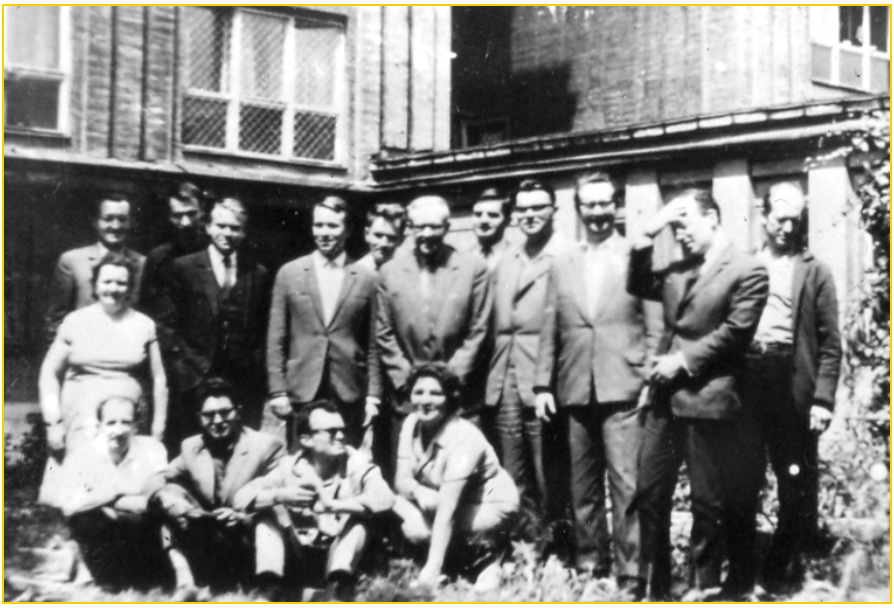

Katedra Elektrotechniki Ogólnej – 1965 rok;
stoją od lewej: Adam Kobyłecki, Andrzej Hetman, Andrzej Gonerski, Andrzej Koszmider, Jan Buchenski, prof .Walenty Starczakow, Ryszard Nowicz, prof. Zdzisław Pomykalski, Zbigniew Piotrowski, Jan Leszczyński, Lucjan Staszewski; siedzą od lewej: P. Wojtala, Jerzy Nowakowski, Lesław Isalski, Adela Hincz

Opracowanie tych dwu zagadnień, bardzo ciekawych, a jednocześnie o istotnym znaczeniu praktycznym, których rozwiązanie zdobyło uznanie nie tylko prof. W. Starczakowa, ale także specjalistów praktyków z zakładów ZWAR w Warszawie, już ostatecznie związało mnie z elektrotechniką, a w niej z przekładnikami. Znalazło tu pełne uzasadnienie zdanie prof. Tadeusza Kotarbińskiego: „Są rzeczy, którymi się zajmujemy, bo je lubimy, i są rzeczy, które lubimy, bo się nimi zajmujemy".

Polubiłem więc elektrotechnikę z przekładnikami i nigdy już nie myślałem o muzyce inaczej jak o moim zainteresowaniu pozazawodowym jako nieźle wykształcony muzycznie meloman.

Teraz nadszedł czas przygotowania i napisania pracy doktorskiej. Obecnie, już jako promotor 12 doktoratów i autor co najmniej takiej samej liczby recenzji prac doktorskich, uważam, że zarówno temat pracy przekładników przy częstotliwości podwyższonej, jak i dotyczący przepięć w otwartych obwodach wtórnych przekładników, spełniały wszystkie wymagania prac doktorskich. Wówczas jednak poszukiwałem innego tematu, który miałby charakter bardziej ogólny. Tymczasem w 1964 roku urodził mi się syn Piotr, co wobec słabego zdrowia jego mamy, nałożyło na mnie sporo obowiązków domowo-rodzicielskich i w pewnym momencie zaczęło wyłaniać się widmo terminu rotacyjnego. Konieczność ukończenia doktoratu w określonym terminie spowodowała, że zamknąłem pewien etap badań, który pierwotnie uważałem za wstępny, dodałem wyniki innych rozważań i nadałem temu kształt doktoratu – jak mnie i mojemu promotorowi prof. Walentemu Starczakowowi się wydawało. Praca właściwie dotyczyła przepięć powstających w przekładnikach prądowych przy zwarciach w sieciach energetycznych, ale zawierała też rozdziały wykraczające poza tę tematykę. Przykładem był rozdział wykazujący, w jakim stopniu w warunkach nasycenia obwodu magnetycznego parametry przekładnika i obciążenia wpływają na kształt i wartości charakteryzujące krzywą prądu wtórnego. Konieczność zmiany zawartości rozprawy w stosunku do pierwotnych zamiarów, spowodowana nagłą zmianą mojego bilansu czasowego, dostarczyła mi sporo stresu, bowiem nagle okazało się, że nie mam już czasu na dopracowanie tego co zamierzałem. Aby więc uniknąć rotacji czy też zagrożenia rotacją, musiałem dokonać zmian i skrótów. Kiedy składałem gotowy już oprawiony egzemplarz pracy, byłem bardzo niespokojny o wynik całego przedsięwzięcia. Recenzentami zostali: prof. Michał Jabłoński z Łodzi oraz prof. Jan Trojak z Katedry Energoelektryki Politechniki Wrocławskiej. Pierwsza wiadomość, jaką dostałem z Wrocławia mówiła że prof. Jan Trojek przeczytał moją pracę i dostał zawał serca. Odetchnąłem, kiedy okazało się jednak, że zawał miał miejsce przed przeczytaniem mojej pracy. W tej sytuacji rolę konsultanta „ds. recenzji" przejął mój rówieśnik pracujący u prof. Jana Trojaka, ówczesny dr inż. Andrzej Wiszniewski, późniejszy minister nauki. Mimo surowości i drobiazgowości dra Andrzeja Wiszniewskiego recenzja była bardzo dobra, a ja miałem okazję poznać człowieka, który później stał się jednym z moich najlepszych przyjaciół, mimo nie-

wielu okazji do spotkań bezpośrednich. Doktorat przebiegł bez większych sensacji, a sama praca została nagrodzona nagrodą ministra.

W roku 1972 opublikowałem rozprawę habilitacyjną, w której przedstawiłem uogólnioną teorię pracy przekładników prądowych w zakresie dużych natężeń pola magnetycznego, nasycających obwód magnetyczny. W pracy przedstawiłem funkcje transformacji, które traktowane jako funkcje, zaproponowanej przeze mnie liczby nasyceniowej, pozwalają na proste obliczenie wartości skutecznej, średniej lub maksymalnej w warunkach głębokiego nasycenia obwodu magnetycznego. Metoda ta wykorzystywana była przez innych autorów w pracach naukowych, a także konstrukcyjnych. Nad tezami rozprawy habilitacyjnej rozpocząłem prace podczas stażu naukowego, jaki odbyłem w roku 1969/70 w Leningradzkim Instytucie Politechnicznym, gdzie zresztą wygłosiłem cykl referatów na temat przekładników prądowych przeznaczonych do pomiarów prądów zwarciowych.

Właściwie myśl, że podjęte w Leningradzie prace wykorzystam w rozprawie habilitacyjnej powstała w marcu 1972 roku, a kolokwium habilitacyjne miało miejsce we wrześniu tego samego roku. Skąd to niezwykłe tempo? W 1971 roku niektórzy doktorzy zostawali docentami, o ile byli dobrze przez władze PZPR widziani, byli to tak zwani później docenci pomarcowi. Dorobek naukowy, który posiadałem nie był gorszy od dorobku kolegów, którzy dostali nominacje na stanowisko docenta. Oficjalnie mówiono, że Ci, którzy zostawali docentami gwarantowali, że wkrótce zrobią pracę habilitacyjną i w przypadku niektórych rzeczywiście tak było. Ja nie mogłem liczyć na uznanie władz PZPR. Wiedząc, że moja kandydatura została „na egzekutywie" z niesmakiem odrzucona, zdecydowałem się gdzieś na początku marca na spotkanie z władzami uczelnianymi PZPR w celu uzyskania oficjalnych informacji o przyczynach negatywnego rozpatrzenia mojej kandydatury na stanowisko docenta. Funkcję zastępcy I Sekretarza pełnił wówczas profesor z naszego wydziału. Powiedział mi, że egzekutywa oceniła, iż nie mam w ogóle najmniejszych szans na ukończenie kiedykolwiek habilitacji. Oczywiście taka opinia podziałała na mnie jak płachta na byka. Rozpocząłem intensywne opracowywanie oraz jednoczesne pisanie rozprawy habilitacyjnej i już w końcu maja przedstawiłem potencjalnemu „najważniejszemu" w tej dziedzinie recenzentowi projekt mojej pracy. Zauważył on potrzebę wniesienia jednej istotnej zmiany polegającej na dopracowaniu metody wyboru wartości indukcji nasycenia, natomiast całość opracowania ocenił jako spełniające kryteria pracy habilitacyj-

nej. W końcu czerwca dostarczyłem recenzentom egzemplarze habilitacji, na początku września były recenzje, a w końcu września odbyło się kolokwium. Kolega profesor, który jako przedstawiciel PZPR ocenił negatywnie moje szanse na habilitację, gratulując mi po kolokwium nie omieszkał dodać, że powinienem być wdzięczny partii za zdopingowanie do pracy. I co by nie myśleć o przewrotności tej uwagi, przyznać trzeba, że odpowiadała prawdzie. Rozprawa habilitacyjna uzyskała nagrodę Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

Dalsze badania prowadzone i kierowane przeze mnie zdominowane były przez badania stanów przejściowych w przekładnikach. Poświęcone tej tematyce było kolejnych pięć prac doktorskich, których byłem promotorem. Także prace wykonywane we współpracy z Instytutem Elektrotechniki w Międzylesiu k. Warszawy (doc. Stanisław Nurek), którymi kierowałem, dotyczyły analizy właściwości dynamicznych przekładników prądowych oraz opracowania zasad projektowania rdzeni przeznaczonych do współpracy z szybkimi zabezpieczeniami.

W roku 1974 ukazała się Polska Norma pt. „Przekładniki prądowe" nr 06552, której byłem współautorem (czteroosobowy zespół roboczy – 25% udziału). W tym też roku reprezentowałem Polską Komisję Normalizacyjną jako członek delegacji na Kongresie IEC w Bukareszcie, biorąc czynny udział w Obradach Komitetu Nr 38.

W roku 1975, pełniąc funkcję Kierownika Zespołu Naukowego „Przekładniki", zainicjowałem rozszerzenie zakresu zainteresowań członków zespołu o zagadnienia związane z przemysłowymi systemami do kontroli jakości, głównie elementów z obwodami ferromagnetycznymi. Przyczyną było po pierwsze pojawianie się coraz bardziej natarczywe nowych technologii pomiarowo-kontrolnych opartych o wykorzystanie procesorów, a po drugie zapytanie, jakie otrzymałem z Zakładów ZATRA w Skierniewicach na temat możliwości opracowania i wykonania systemu do kontroli końcowej transformatorów produkowanych w tych zakładach. Były to tak zwane transformatory elektroniczne, które służyły do zasilania obwodów w radioodbiornikach, telewizorach, magnetofonach i innych urządzeniach elektronicznych. Praca, którą nam zlecono, a której zostałem kierownikiem, była wykonana na zlecenie Ministerstwa Przemysłu Maszynowego w ramach Programu Rządowego PR-2. Praca ta, oparta na zastosowaniu dostępnego wówczas systemu procesorowego CAMAC, przekazana i wykorzystana w Zakładzie ZATRA, miała pod wieloma względami charakter promocyjny

dla systemu CAMAC w Polsce i w ogóle dla komputerowych systemów kontroli jakości. Rezultatem tej współpracy był także mój udział w delegacji Zjednoczenia UNITRA do koncernu ASEA w Szwecji w charakterze kierownika delegacji omawiającej współpracę w zakresie przemysłowych systemów kontroli jakości.

Kolejnym zagadnieniem z dziedziny komputerowych systemów pomiarowych było opracowanie na zlecenie przemysłu automatycznego systemu procesorowego do pomiaru błędów przekładników prądowych i napięciowych. System ten oparty na całkowicie oryginalnej metodzie pomiaru błędów przekładników został opracowany, wykonany i wdrożony w roku 1986 w Zakładach ZWAR w Przasnyszu, produkujących przekładniki średnich napięć. Pracując nad zagadnieniami komputeryzacji metod pomiarowych stosowanych przy badaniach przekładników, od 1982 roku kierowałem i uczestniczyłem w pracy poświęconej metodzie i systemowi do badań własności dynamicznych przekładników prądowych. Metoda ta i realizujący ją system mikrokomputerowy jest pierwszym rozwiązaniem tego problemu przedstawionym w literaturze.

Od ponad 25 lat corocznie organizowane jest Krajowe Seminarium Przekładnikowe, którego byłem inicjatorem. Seminarium to jest miejscem spotkań producentów oraz pracowników naukowych z terenu całego kraju pracujących nad problemami konstrukcji, technologii, badania i eksploatacji przekładników.

W latach 1985–1988, korzystając z pośrednictwa firmy Polservice, pracowałem trzy lata w Algerii w Uniwersytecie Technologicznym INES de Biskra w Biskrze. Prowadziłem tam wykład z podstaw elektrotechniki w ramach przedmiotu „fizyka" na pierwszym roku oraz wykład dla specjalności maszyny elektryczne, zatytułowany „Transformatory". Podczas tej pracy kierowałem 16-osobowym modułem P 202 (fizyka) oraz brałem udział w pracach organizacyjnych związanych z uruchomieniem Wydziału Elektrycznego oraz Laboratorium Badania Energii Słonecznej. Wygłosiłem także cykl referatów dotyczących współczesnych problemów techniki przekładnikowej. Zderzenie z kulturą arabską i światem islamu, i to nie z perspektywy turysty, a prawie uczestnika cywilizacji jakże odmiennej od naszej, było ogromnym przeżyciem, ale jak mówią: „To już całkiem inna historia".

Po powrocie do Polski, w roku 1991 został mi nadany, już przez nową władzę, tytuł profesora. Tytuł ten wręczał mi podczas swojej pierwszej nominacji profesorskiej prezydent Lech Wałęsa.

Międzynarodowa konferencja „Instrument Transformers" 1990 – Dobieszków; autor przedstawia prezydium, z lewej: doc. Stefan Wojciechowski, rektor PŁ prof. Czesław Strumiłło, z prawej dziekan Wydziału prof. Maciej Pawlik, prof. Zbigniew Piotrowski

W roku 1992 nawiązałem współpracę z l'Ecole Centrale w Lyonie, gdzie odbyłem staż, finansowany przez Zarząd Regionu Rodańsko-Alpejskiego. W ramach stażu rozpocząłem prace nad rozwijającą się wówczas gwałtownie nową w elektrotechnice dziedziną – kompatybilnością elektromagnetyczną. Współpraca ta, głównie z prof. Philippem Auriolem, zaowocowała przygotowaniem nowego, całkowicie oryginalnego wykładu, który prowadziłem od 1994 roku dla studentów studiów dziennych na Wydziale Elektrotechniki i Elektroniki PŁ. Zainicjowałem także badania naukowe z tej dziedziny dotyczące transferu zakłóceń do obwodów pomiarowych i zabezpieczeniowych przez przetworniki pomiarowe, ze szczególnym uwzględnieniem przekładników. W roku 1996 otwarty został pierwszy przewód doktorski z tej dziedziny (doktorant Hasan Mana – Algeria), a następny dra inż. Dariusza Brodeckiego został ukończony w roku 2000. Efektem mojego pobytu w l'Ecole Centrale de Lyon, był także 10-miesięczny staż dra inż. Wiesława Jałmużnego w tamtejszym laboratorium, co umożliwiło wykonanie pierwszych prac eksperymentalnych dotyczących właściwości kompatybilnościowych przekładników.

Podczas części pisemnej egzaminu w Auli im. Sołtana – 1997 rok

Kierowana przeze mnie katedra gościła w roku 1995 w ciągu sześciu miesięcy w Lake City. Dużym sukcesem, o innym już charakterze, było uzyskanie w 2002 roku z KBN grantu inwestycyjnego na zakup aparatury kompatybilnościowej, który wraz z dotacją inwestycyjną KBN z roku 2007/2008 pozwolił na uruchomienie w Katedrze Laboratorium EMC (Electro-Magnetic Compatibility) przeznaczonego do badań naukowych oraz prowadzenia zajęć dydaktycznych. Starania o uruchomienie Laboratorium EMC na Wydziale EEIA miały długą historię, a poza normalnymi w szkolnictwie wyższym trudnościami finansowymi na przeszkodzie stała także z trudem przebijająca się świadomość znaczenia EMC dla rozwoju zarówno elektrotechniki i elektroniki, jak i automatyki oraz informatyki. Obecnie laboratorium EMC, które oczywiście stale wymaga uzupełnień, spełnia wymagania laboratorium dydaktycznego oraz badawczego dla zakresu częstotliwości do 1 GHz. Działalność naukowa w dziedzinie kompatybilności elektromagnetycznej uzupełniona była działaniami o charakterze techniczno-popularyzatorskim. Do nich zaliczam wydawane przez dwa lata cykliczne opracowanie pt. *Certyfikat w zakresie kompatybilności elektromagnetycznej* (Wydawnictwo WEKA w Warszawie). Pełniłem wówczas funkcję redaktora polskiego wydania tej pracy oraz współautora.

Jubileusz 60-lecia pracy autora – Tworzyjanki, 2008 rok;
wśród gości m.in.: rektor PŁ Jan Krysiński z małżonką (piąty od lewej), rektor PŁ Stanisław Bielecki (ósmy od lewej), wielokrotny współorganizator seminarium przekładnikowego, prezes Zbigniew Winkiel (12. od lewej) rektor Politechniki Wrocławskiej Andrzej Wiszniewski (15. od lewej), dziekan Wydziału EEIA prof. Sławomir Wiak (16. od lewej), prof. Edward Kącki (17. od lewej), prof. Andrzej Jordan (18. od lewej), prof. Zbigniew Dmochowski (19. od lewej)

Począwszy od roku 1999 organizowana jest przez Wydział EEIA cykliczna konferencja krajowa „Kompatybilność Elektromagnetyczna w Elektrotechnice i Elektronice". Konferencja powstała z mojej inicjatywy i do dzisiaj pełnię w niej funkcję przewodniczącego Komitetu Naukowego.

Jednocześnie zespół kierowany przeze mnie otrzymał zlecenie opracowania przekładnika kombinowanego prądowo-napięciowego wysokiego napięcia dla Zakładów ZWAR w Warszawie. Zlecenie to następnie było realizowane dla koncernu ABB, który w międzyczasie zakupił ZWAR. Niezależnie od całej skomplikowanej historii tej pracy, wplecionej w przejmowanie polskiego przemysłu przez przemysł zagraniczny i wynikających z tego procesu skutków, był to mój największy sukces o charakterze teoretyczno-praktycznym. Wykonanie projektu wymagało rozwiązania teoretycznego poważnego problemu wewnętrznych oddziaływań elektromagnetycznych, zaprojektowania nowoczesnej izolacji o sterowanym rozkładzie pola elektrycznego oraz zaprojektowania skomplikowanych konstrukcji obwodów magnetycznych spełniających „wyśrubowane" wymagania kon-

cernu światowego. Efektem było wprowadzenie do produkcji przekładnika na napięcie 110 kV, którego ponad 2000 sztuk pracuje w stacjach wysokiego napięcia w Polsce i za granicą. Praca ta, którą wykonał pięcioosobowy zespół pod moim kierownictwem, wyróżniona została nagrodą Premiera.

Opisując przebieg drogi naukowej można stwierdzić, że najłatwiej jest przechodzić od pracy zwieńczonej jakimś uhonorowaniem jej czy wyróżnieniem do innej podobnie zakończonej. Ale przecież pomiędzy nimi jest wiele, które z różnych względów nie zakończyły się sukcesem, a „pożarły" mnóstwo wysiłku i czasu. Były piękne pomysły, które miały zmienić całkowicie jakąś ważną część elektrotechniki i które po pewnym czasie, zazwyczaj krótkim, w wyniku pojawiających się wątpliwości najpierw nieważnych, potem rozrastających się, zaczynały gasnąć, aż do całkowitej z nich rezygnacji. Były też pomysły porzucone bez powodów, które ktoś gdzieś pozbierał i zamienił w konkretne efekty. Wierzyłem jednak już od czasów studiów, że właściwe wykorzystanie porażek może nas zbliżać do sukcesów. Przekonanie to wielokrotnie znalazło w moim życiu potwierdzenie. Uważam więc, że słynne powiedzenie: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło" ma mimo wszystko głęboki sens, pod warunkiem, że to zło zostanie przeanalizowane i wyciągnięte zeń będą właściwe wnioski.

Moja działalność naukowa oraz dydaktyczna była dostrzegana od początku do końca mojej kariery etatowej w PŁ, w związku z tym otrzymałem wiele nagród, wyróżnień i odznaczeń. Oczywiście pracuje się nie dla nagród i odznaczeń, jest jednak niezwykle przyjemnie, gdy wysiłek czasem uwieńczony powodzeniem, zostaje zauważony przez otoczenie, w którym się działa, a przełożeni uznają za stosowne przyznanie odpowiedniego wyróżnienia. Zauważyłem przy tym pewną prawidłowość, polegającą na przesunięciu czasowym okresów wytężonej pracy w stosunku do okresów wypełnionych uznaniem i wyróżnieniami. Odnosi się to, jak sądzę, do osób o podobnej do mojej konstrukcji psychicznej. Myślę tu o cykliczności okresów intensywnej pracy i okresów – powiedzmy – zmniejszonej aktywności, żeby nie użyć tu silniejszych określeń. Otóż, wyróżnienia i dowody uznania zawsze spotykały mnie w okresie, gdy pracy poświęcałem niewiele czasu i zainteresowania i, odwrotnie – kiedy naprawdę ciężko pracowałem, spotykałem się z krytycznymi uwagami na temat efektów mojej pracy. To przesunięcie czasowe, choć dające się wytłumaczyć logicznie, było tak wyraźne i tak dokładnie dające się przewidzieć, że często obserwowałem to z pewnym rozbawieniem, powtarzając sobie refren znanej kiedyś piosenki: *„Po deszczu jest słońce, po słońcu jest deszcz"*.

Laboratorium EMC na Wydziale EEIA w Politechnice Łódzkiej
nadano imię autora – 2011 roku

Nie wchodząc w szczegóły, a statystycznie rzecz przedstawiając, w związku z moją pracą w Politechnice Łódzkiej otrzymałem m.in.: sześć nagród Ministra, jedną nagrodę Premiera – była to pierwsza nagroda Premiera w historii Politechniki Łódzkiej, około 20 nagród Rektora i Dziekana, wyróżnienie ŁTN i Prezydenta Łodzi „Łódzkie Eureka" (byłem pierwszą w historii osobą, której wręczono to wyróżnienie), odznakę „Zasłużony dla Politechniki Łódzkiej", medal Iwanow-Szajnowicza – medal okolicznościowy AZS, medal Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznakę AZS, medale 50-lecia i 60-lecia Politechniki Łódzkiej, medal „30-lecia Solidarności", medal „Zasłużony dla Sportu Łódzkiego", Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski „Polonia Restituta", Krzyż Oficerski „Polonia Restituta". Każde z tych wyróżnień ma swoją historię i oddzielne dla mnie znaczenie, a ich oficjalna ranga nie zawsze pokrywa się z wagą związanych z nim przeżyć. Dla mnie największym wyróżnieniem było – pięć lat po odejściu na emeryturę – nadanie mojego imienia Laboratorium Kompatybilności Elektromagnetycznej przez Władze Wydziału. Wniosek w tej sprawie został zgłoszony przez pracowników byłej Katedry Elektrotechniki Ogólnej i Przekładników, która aktualnie jest Zakładem Kompatybilności Elektromagnetycznej i Przekładników w Instytucie Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej.

Z koleżankami i kolegami tymi pracowałem razem przez ponad 40 lat, stojąc na czele najpierw Zakładu Przekładników w Instytucie Podstaw Elektrotechniki, potem pełniąc funkcję kierownika katedry. Ten ogromny szmat czasu bliskiej współpracy nagrodzony został tym pięknym i niecodziennym wyróżnieniem, które jest dla mnie prawdziwym i wielkim zaszczytem.

A co poza nauką?

Jeżeli w jakimś miejscu człowiek się zatrzymał przez ponad 50 lat i jest z tym miejscem uczuciowo związany, to znaczy, że miejsce to oferowało mu wiele różnorakich emocji, wartości, możliwości rozwoju, także zainteresowań pozazawodowych. Być inaczej nie może. Tak też było z Politechniką Łódzką w moim przypadku. Oddałem jej cały najlepszy środek mojego życia, ale też i ona dała mi wiele. Były to przeżycia nie tylko naukowe czy dydaktyczne, ale także mnóstwo innych możliwości rozwoju zainteresowań, przyjaźni, pasji i wszystkiego, co potrzebne człowiekowi. Inaczej tych 50 lat, jedynie kochając elektrotechnikę, nie dałoby się przeżyć.

Pierwszą, chronologicznie rzecz biorąc, pasją podczas pracy w politechnice było żeglarstwo. Żeglarstwa nie było w latach pięćdziesiątych na uczelni. Wspólnie z przyjacielem z Wydziału Mechanicznego Andrzejem Zacharą i pod patronatem jednej z najbarwniejszych i najwspanialszych osobowości politechniki tamtych czasów, pani prof. Eligii Turskiej, założyliśmy Klub Żeglarski Pracowników PŁ. Klub ten do tej pory działa i rozwija się nieprzerwanie.

W 50-letniej historii klubu były wzloty i upadki, radości i smutki, wydarzenia tragiczne i sukcesy. Obecnie klub, prowadzony przez kolejną ekipę działaczy, posiada bazę nad piękną zatoką Poganecką, w środku Wielkich Jezior Mazurskich, bazę, która już od wielu lat znajduje się na wszystkich mapach jako Baza Politechniki Łódzkiej. Osobiście uprawiałem żeglarstwo praktycznie nieprzerwanie przez ponad 40 lat.

Drugą pasją były szachy. W jaki sposób działają szachy i co wyczyniają z człowiekiem nie wie nikt, kto nie grał w szachy co najmniej na poziomie – powiedzmy – pierwszej, drugiej kategorii. Jeden z naszych starszych kolegów, kiedy opuszczaliśmy klub po wielogodzinnym graniu, jęknął łapiąc się za głowę: „Boże Mój! Gdyby nie te szachy, to już od dawna bym był po habilitacji!".

Jubileusz 10-lecia Klubu Żeglarskiego PŁ w 1970 roku – Jez. Kisajno;
przy sterze autor; siedzą prof. Edward Kącki, dziekan Wydziału Elektrycznego
prof. Zdzisław Pomykalski

Jakiś czas temu prasa podała, że w USA sędzia orzekła rozwód, którego przyczyną było to, że mąż był szachistą! Szachy to nie tylko zajęcie na jawie. W szachy można rozgrywać całkiem poważne i dobre partie we śnie, partie dające się odtworzyć po obudzeniu, często w środku nocy. Dramat i wciągająca w „czarną dziurę" bez czasu, siła psychologiczna szachów polega na tym, jak pisał arcymistrz Alechin, że każda partia to tragedia jednego ruchu i to ruchu wykonanego własną ręką. A gdybym wykonał inny ruch? A tych innych ruchów i ich konsekwencji jest niestety praktycznie prawie nieskończenie wiele.

Na politechnice mieliśmy sporo dobrych szachistów: mistrza międzynarodowego, dwóch mistrzów krajowych, jednego kandydata na mistrza i kilku zawodników z pierwszą kategorią, nic więc dziwnego, że w rozgrywkach ligi łódzkiej reprezentacja politechniki odgrywała czołową rolę. W ciągu kilku lat z poczuciem dumy wchodziłem w skład czteroosobowej reprezentacji Politechniki Łódzkiej, choć co prawda grałem na czwartej szachownicy. Niezwykłych przeżyć dostarczały rozgrywane przez kilka lat mistrzostwa politechniki, w których dwukrotnie udało mi się zdobyć tytuł wicemistrza. Były to lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte.

Znacznie mniej zajmującym zajęciem był tenis ziemny. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w warunkach łódzkich tenis był zajęciem sezonowym, nie było bowiem dostępnych dla amatorów kortów krytych. Na kortach w parku Poniatowskiego można było spotkać pracowników politechniki, a w ciągu chyba dwóch lub trzech sezonów udało się nam uzyskać od władz uczelni wynajęcie dla PŁ dwóch kortów. W tym okresie rozgrywano tylko raz turniej o mistrzostwo politechniki, który udało mi się wygrać.

Przyszły lata osiemdziesiąte, a z nimi gorące zebrania solidarnościowe, wspaniały czas jedności, uniesień i wiary, że prawie wszystko, o czym się pomyśli, da się zrealizować. Wszyscy w politechnice pamiętamy zebranie w audytorium 10., podczas którego padła propozycja, aby szybko pozbyć się czerwonego rektora. Na to zabrał głos Andrzej Wilczkowski, inżynier, taternik, pisarz, autor piosenek, i opowiedział anegdotę o młodym byczku, który na widok stada jałówek zawołał do swego ojca, dojrzałego byka: „Tato, ja tę czerwoną jałówkę szybko...". Na to stary byk: „Synu, po pierwsze nie szybko, tylko wolno, i nie tę czerwoną jałówkę, tylko wszystkie". Entuzjazm na sali i poza nią trwał do 13 grudnia 1981 roku, kiedy na prawie 10 lat zgasło światełko w tunelu.

Innego rodzaju hobby było zainteresowanie dydaktyką w szkolnictwie wyższym. Interesowałem się – powiedzmy – teorią kształcenia składającą się zarówno z psychologii pracy umysłowej, aspektów dydaktyczno-wychowawczych i etycznych, znajomości funkcjonowania mózgu i jeszcze kilku innych dyscyplin związanych z uczeniem i uczeniem się, które w końcu XX wieku gwałtownie rozwijały się i rozwijają nadal. Moje zainteresowania ożywił także kontakt z synem Piotrem, który po obronieniu doktoratu w Toronto pracował w uczelniach kanadyjskich i amerykańskich, gdzie już wówczas, czyli w latach dziewięćdziesiątych, problematyka teorii kształcenia była nie tylko doceniana, ale także istniały i istnieją do dziś rzeczywiście działające systemy zapewnienia jakości kształcenia. Tymczasem u nas – mam na myśli nie tylko Politechnikę Łódzką, ale w ogóle w Polsce – próba wprowadzenia jakiegokolwiek systemu dotyczącego jakości kształcenia na ogół była traktowana jak zamach na swobody akademickie wykładowców. W większości polskich uczelni można prowadzić zajęcia przez 30–40 lat, nie będąc ani razu hospitowanym.

Wszędzie istnieje, a w każdym razie dawniej istniało przekonanie, że znakomicie kształcimy, bowiem nasz absolwent „Kowalski" osiągnął wysokie stanowisko w koncernie światowym, ale nikt nie interesuje się, czego to

było wynikiem – czy naszego kształcenia, czy zdolności i pracowitości „Kowalskiego" pomimo naszego kształcenia. Michał Faraday kończył karierę jako prezes Królewskiej Akademii Nauk nie kończąc przedtem ani jednej klasy w żadnej szkole, nie mówiąc o studiach.

To hobby związane z dydaktyką, w odróżnieniu od innych nie dostarczyło mi wiele radości, raczej samych porażek i wielu przeciwników. Początkiem była akcja, która miała doprowadzić do wprowadzenia w PŁ ankietyzacji zajęć. Opublikowałem w roku 1997 artykuł w „Życiu Uczelni" pt. *Czas dydaktyki*, w którym między innymi uzasadniałem konieczność wprowadzenia ankietyzacji zajęć i jako przewodniczący Senackiej Komisji Dydaktycznej kilkakrotnie występowałem podczas obrad Senatu w tej sprawie, odwiedzałem Rady Wydziału, Dziekanów, wreszcie, po kilku nieudanych próbach, na jednym z ostatnich w kadencji posiedzeniu, Senat przyjął uchwałę na temat wprowadzenia ankietyzacji zajęć. Profesor Ludomir Ślusarski, mój wieloletni partner tenisowy, powiedział po zakończeniu głosowania, że Senat przyjął tę uchwałę tylko dlatego, że moje wystąpienie na ten temat było najdłuższym w historii Senatu, a obawiano się, że następne będzie jeszcze dłuższe. Ankietyzacja została wprowadzona na niektórych wydziałach, potem zarzucona, na niektórych częściowo wznawiana, a o ile wiem, nigdy nie wykorzystano systemu ankietyzacji tak jak powinna być ona wykorzystywana. A więc, porażka.

Praca nad utrzymywaniem jakości kształcenia opiera się zawsze na systematycznym, powiedzmy raz w semestrze, zainteresowaniu tym tematem wszystkich szczebli – od zakładów, przez katedry, instytuty, rady wydziałów, do rektora włącznie. Po wielu zabiegach, artykułach, zebraniach i naradach, udało się wreszcie w roku 1998 przyjąć uchwałę Senatu o systemie jakości kształcenia, opartego o system hospitacji koleżeńskich i analizę ankiet, która moim zdaniem nigdy w pełni nie została wprowadzona. Znowu porażka.

Do wprowadzenia systemu punktów kredytowych zacząłem namawiać w roku 1995. Wygłaszałem referaty podczas obrad Rady Wydziału, pisałem artykuł w naszym „Życiu Uczelni". Dzielnie współpracowaliśmy tu w latach dziewięćdziesiątych z doc. drem Tomaszem Saryuszem-Wolskim, który obecnie jest wybitnym specjalistą nie tylko od systemu ECTS, ale także od jakości kształcenia. Ale na wprowadzenie przyszło czekać aż do pojawienia się systemu ECTS jako systemu obowiązkowego.

Kolejną walkę zacząłem prowadzić o język angielski. W roku 1997 opublikowałem w „Życiu Uczelni" artykuł pt. *„Język angielski i języki obce*

w Politechnice Łódzkiej, czyli to be or not to be an engeneer", gdzie przedstawiłem propozycje reformy nauki języka angielskiego. Chodziło o to, żeby studenci opanowali język angielski w stopniu wystarczającym do słuchania i rozumienia wykładu, powiedzmy do końca trzeciego roku, a dopiero po tym uczyli się ewentualnie dodatkowego języka obcego. Napisałem wówczas, że inżynier, który nie zna języka angielskiego, nie będzie mógł być inżynierem. Znowu spotkania, narady, dyskusje i tłumaczenia, dlaczego wszyscy studenci powinni znać akurat język angielski. Najbardziej emocjonujące z tych spotkań odbyłem w Studium Języków Obcych, gdzie zostałem całkowicie odsądzony od czci i wiary. Naprawdę nikt nie chciał zmian i nic z tego nie wyszło. Znów porażka.

Dopiero wiele lat później działania rektora Jana Krysińskiego, polegające na zmianie kierownictwa Studium Języków Obcych, otworzyło możliwości opracowania i stopniowego wprowadzania w politechnice reformy nauki języka angielskiego, która realizuje większość założeń reformy zaproponowanej w moim artykule w „Życiu Uczelni" sprzed 15 lat. Również ankietyzacja zajęć jest obecnie w pełniejszym i jednolitym wydaniu przedmiotem zainteresowania władz rektorskich, podobnie rzecz się ma z systemem hospitacji. Wszystko po 15 latach. Trudno tu nie zachwycić się trafnością myśli, którą znalazłem w publikacji związanej z jubileuszem prof. Andrzeja Wiszniewskiego – „Nie wystarczy mieć rację, trzeba ją mieć we właściwym czasie!!!"

Pewną rekompensatą za te dydaktyczne niepowodzenia było opracowanie i wprowadzenie do programu autorskiego wykładu pt. „Metodyka studiowania". Wykład ten, zawierający wiadomości o szkołach wyższych, podstawowych aktach prawnych, ale także o etyce środowiska akademickiego, psychologicznych aspektach uczenia się, budowie i działaniu mózgu, a także o podstawowych wiadomościach na temat technik uczenia się, zdawania egzaminów i prezentacji uzyskanych wyników, jest do tej pory z dużym powodzeniem prowadzony dla studentów pierwszego roku.

Nie mogę tu pominąć moich działań na rzecz sportu w łódzkim środowisku akademickim. W latach siedemdziesiątych, na wniosek studentów PŁ, zostałem powołany na stanowisko pełnomocnika rektora ds. AZS. Pracowałem wówczas nad rozwojem tak zwanego sportu masowego, propagując rozgrywane w wielu dyscyplinach turnieje międzywydziałowe. W roku 1979 zostałem wybrany na stanowisko Prezesa Zarządu Okręgowego AZS w Łodzi. Wynikiem działań na rzecz całego środowiska akademickiego Łodzi było wówczas uzyskanie nowego lokalu dla Zarządu Środo-

wiskowego AZS przy ulicy Sienkiewicza, doprowadzenie do remontu stadionu AZS przy ulicy Styrskiej oraz do ponownego uruchomienia gabinetu odnowy na stadionie AZS, reanimacja działalności kilku sekcji, a także w celu zwiększenia integracji środowiska, wprowadzenie w kilku dyscyplinach corocznych rozgrywek międzyuczelnianych. Mimo że za działalność na rzecz rozwoju sportu akademickiego otrzymałem od Zarządu Głównego AZS Złotą Odznakę AZS, a od Ministra Edukacji nagrodę za upowszechnianie sportu w środowisku akademickim, postęp w rozwoju sportu akademickiego w Łodzi nie był wówczas zadowalający. Przyczyn było kilka, ale to naprawdę temat na oddzielne długie opowiadanie.

Etatową pracę w Politechnice Łódzkiej zakończyłem w roku 2007, a obecnie kontakty z politechniką utrzymuję prowadząc wykłady na specjalności „Gestion et Technologie" w IFE oraz pełniąc funkcję opiekuna Galerii „Pod Napięciem", która powstała z mojej inicjatywy w roku 2001, a która jest przeznaczona do eksponowania prac studentów Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi. Galeria, dzięki władzom wydziału, ma wydzielone miejsce obok naszych największych audytoriów E1 i E2 i w sposób regularny, około 3–4 razy w semestrze, następuje zmiana ekspozycji połączona z małą uroczystością – wernisażem.

Od kilku lat pracuję w Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, pełniąc funkcję dziekana, a obecnie rektora. Moja sytuacja rodzinna jest następująca: mam żonę Teresę, która jest prawnikiem, oraz już 49-letniego syna Piotra. Syn jest profesorem matematyki pracującym w Instytucie Matematyki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.